



WIADOMOŚCI LITERACKIE

T Y G O D N I K

Nr. 42 (513)

Warszawa, Niedziela 24 września 1933 r.

Rok X

JÓZEF PIŁSUDSKI

LIST O REWOLUCJI 1905 R.

Wojnę rosyjsko-japońską powitała P. P. S. z uczuciem zadowolenia — jako fakt pożądany; panujące podówczas prawie powszechnie przekonanie o militarnej potęgę Rosji i jej niezwykłości nie zmniejszało wcale wiary, że wojna — jak pisał „Przedświt” — bodaj częściowo zrehabilituje stosunki wewnętrzne, wytraci z równowagi wrogie Polsce potęgę i w ten sposób „przypieszę chwilę naszej rewolucji”. „Nie przypuszczałem, — stwierdza w swych wspomnieniach Józef Piłsudski, stojący w owych czasach na czele tej najsilniejszej „nie tylko liczbą, lecz i odwagą wystąpienia” organizacji, — aby wypadek tak wielki jak wojna, toczona przez Rosję, mógł przejść bez śladu dla państwa rosyjskiego i nie do prowadził nas. Polaków, do sytuacji, gdzie zapomaca siły dałaby się osiągnąć znaczną poprawa w życiu Polski”.

Zasadnicze stanowisko partii zostało jasno sformułowane w odezwach i prasie partyjnej.

Poza „Przedświtem” z artykułem zasadniczym wystąpił „Robotnik” w nr. 54: „Obowiązkami naszym jest wyzyskać wojnę dla naszych celów, w miarę sił i stosownie do warunków... rozwinąć powinnym wszystkie siły w celu zaostreżenia i rozszerzenia akcji rewolucyjnej, w celu wzmocnienia naszej akcji przeciwstawnej, naszej walki z caratem. W akcji swojej powinniśmy się kierować rozsądkiem, nie ślepość, nie być ze swymi siłami. Ale niemniej od rozważań potrzebna nam odważność, potrzebne nam miejsce w boju, które nie cofa się przed ofiarami... Musimy rozporządzać potężną organizacją i wielkimi środkami. Dotychczasowa nasza organizacja nie wystarczyła. Potem, musimy ją rozszerzyć, musimy ją przekształcić tak, aby mogła kierować wszelkim ruchem, jaki okaże się potrzebny i pożyteczny”.

Wzmownym obrazem podówczas panujących nastrojów i trudności, z jakimi walczyć musiało zaraz po wybuchu wojny, jest list Piłsudskiego, pisany z Warszawy do działaczy partyjnych w Krakowie. List ten (oryginał w archiwum P. P. S.) daty nie ma, z treści jego jednak wynika, że napisany został w ostatnich dniach lutego 1904 r. Końcowe jego ustępy wyświadczone zostały z nieznacznie zmianami stylistycznymi) w bezimiennym korespondencji do „Przedświtu” (nr. 3 z r. 1904). Zaznaczyć należy, że wiadomość o wybuchu wojny zastała Piłsudskiego w Siedlcu, gdzie przebywał na parę dni przedtem w sprawie przeniesienia tamże drukarni i redakcji „Robotnika” z Rygi do kraju.

Władysław Pobóg-Malinowski.

Kochani! Pomimo, że się na was gniewam za zaważ przy odpowiedzi na mój list poprzedni, jednak spróbuję raz jeszcze tej drogi. Przedewszystkiem jednak dam wam sprawozdanie z tego co tutaj przez czas ubiegły zaszło. Przed wybuchem jeszcze wojny widziałem się z wielokrotnie C. K. i warszawiakami; nastrojów przeważał „pozytywny”, nieufny względem wszystkiego co pachło romantyzmem, ludzie się nie zapalali do niego. Zaraz po wybuchu wojny położenie się zmieniło. O bardzo wielu ludzi zjawili się poczucie wyjątkowości chwili, wymagałcej wyjątkowych z naszej strony środków i akcji. Poczucie tej wyjątkowości chwili obecnie już jest wprost powszechne. Narazie jednak odczuły tę wyjątkowość tylko gorętsze głowy. Przyznaję się, że nie doceniłem w tym wypadku nastroju mas, a przeciwnie nieco nastrojów sfer inteligentnych i burżuazyjnych. Rozumowałem mniej więcej w ten sposób. Faktem jest, że potrzebna jest koniecznie z naszej strony akcja jakakolwiek, hamulców czy podniecająca — ale w każdym razie akcja. Objętne, bierne stanowisko dla nas jest na nic, bo jeśli nie zaraz, to po pewnym czasie stracimy wpływ i znaczenie w społeczeństwie i masach. Do akcji potrzebna jest przedewszystkiem moneta. Z tych sfer, do których kiepsko trafialiśmy dotąd, nie wyciągniemy większej monety umożliwiającej nam szerszą robotę i organizację, zatem trzeba się udać tam, gdzieśmy dotąd nie sięgali, i spróbować zdobyć większą monetę. Odczuwałem, że trzeba przerobić organizację, zmobilizować większe siły organizatorskie i techniczne, a bez monety nicby się zrobić nie dło. Rozpocząłem więc odrazu w tym kierunku, przyczem rozumiałem do-

brze, że bez pewnego straszaka, bez pewnego gwałtu, ludzie, do których się udałem, tej monety nie dadzą. Skorzystałem więc z paru wiadomości z prowincji o nastroju wśród chłopów i rzemieślników i zacząłem je usilnie kolportować, a przez odpowiednie stosunki nawiązałem romans z finansistami. Tu z nimi osobiście się nie widziałem, poszedłem tylko do paru młodych gentium ze społecznymi tendencjami, którym przedstawiłem położenie i wymagałem monety. Szło to jak z kamienia. Straszak na ludzi niewątpliwie działał, robiono poważne miny, dawano po jakieś 50 rs. i amen. Interes rozpoczęły musiałem pozostawić, bo postanowiłem jechać do Płoty, by tam zrobić ten sam huczek i eksperyment, a oprócz tego nabrać różnych wiadomości ze stolicy rządowej, by mieć coś w ręku dla opowiadania. Z tej akcji warszawskiej zyskałem trochę floty, — bardzo mało, — rozruszałem paru ludzi do tego interesu, zawiązałem i wzmocniłem stosunki i zależność od nas najrozmaitszych wpływowych inteligentów, którym zaimponowałem dostatecznie, by zmusić ich i nadal być po myśli naszego. Samą warszawską organizację zostawiłem prawie niekniętą. Omówiłem tylko z Leonem¹⁾, w jakim kierunku ma nastąpić reorganizacja, — chodzi nam o stworzenie specjalnej organizacji ad hoc — organizacji napół wojskowej, dającej się użyć do wszystkiego, karnej i dostatecznie sprężystej, by na nią liczyć można było. Trudno szło z tem narazie, bo organizatorzy warszawscy tak po uszy ugrzęźli w ekonomizmie, fachowości i innych sprawach drobnych, tak szarością życia codziennego byli zahipnotyzowani, że z trudem oswajali się z myślą o czemś nowym, dotąd niewypróbowanym. Następnie przygotowałem odezwę, w której wobec nieokreśloności sytuacji i planów wyraziłem to co przeprowadzałem w akcji — mianowicie omawiałem, że chwila jest wyjątkowa, że przedewszystkiem należy zwrócić uwagę na organizację, a wstrzymać się od lekkomyślnych kroków, któreby naruszyły jedność wystąpienia, że wreszcie organizacja musi mieć jako zadanie być w razie potrzeby kierownikiem ruchu lub też odegrać rolę hamulca, gdy to będzie stosowne. Odezwę po drodze do Juliusza²⁾ zawędrowała do Jana³⁾, który zaopatrzył ją „pozytywno-głupimi” notatkami i radził Juliuszowi napisać inną, ta zaś mała tym razem usłuchała i kropnęła odezwę, którą już znać, — anemiczną, bierną, nie nie mówiącą, z powodu której obecnie w Warszawie otrzymałem stopy pretensyj, wymysłał, drwinę i t. d. i która podobąa się jedynie tym sferom, na które urzędowało naogółę że straszakiem, oraz n. dekom⁴⁾. W Płocie spotkałem mnie już fiasco w sferach finansowych. Z jednej strony proponowano mi kupić partję z warunkami, by mieć decyzję na postępowanie polityczne. Wszę — naturalnie w kierunku utrzymania spokoju, z drugiej zapewniano mi, że przeciwnie sytuację, albowiem manifestacje rosyjskie nie spotkały się z odpo-
wiedzią z naszej strony⁵⁾. Tu wypuściliśmy atut z reki. Trochę się zaważał w tym wypadku Leon, trochę wypadki zaskoczyły nas, a najbardziej organizacja była za mało sprężystą, by ją odrazu wyprowadzić na ulicę, i stał się fakt paskudny, który o ile rozgoryczył robotarzy i zrobił ich chętnymi do wystąpienia, o tyle zniechęcił trochę inteligencję, a dalsze sfery zrobił spokojniejszymi o przyszłość. Teraz to się nie powtórzy. W niedzielę już wstrzymaliśmy przygotowaną manifestację patriotyczną i urządziliśmy coś w rodzaju swojej, ale o tem potem. Obecnie sytuacja jest taka. Organizacja w Warszawie prawie na ukończeniu — stworzenie, oprócz istniejącej — nowej bojowej, obowiązuje do karności i posłuszeństwa, sprężystość jej dotąd nie wypróbowana, ale na papierze wygląda dostatecznie szybko — wypróbujemy ją i postaramy się z niej zorganizować swoją policję, by tej organizacji dać robotę. Studenteria — tę dopiero rozpoczynamy organizować w kadry, podzielić ją na działy i w czę-

1) Leon — Bolesław Czarkowski.

2) Juliusz — Feliks Perl, ówczesny redaktor „Robotnika”.

3) Jan — dr. Feliks Sachs.

4) Piłsudski o wypadku tym pisze obszernie w „Wspomnieniu o Grzybowie”.

5) Mowa tu o manifestacjach „patriotycznych”, urządzanych w pierwszych tygodniach wojny przez policję i młodzież rosyjską w Królestwie.

ści zepchnąć na nią robotę ekonomiczną-fachową, w części techniczną, wreszcie by mieć ją w garści dla wystąpienia. Inteligencja — ta źle stoi jeszcze, tylko planuje jak ją organizować, dotąd wyższa inteligencja leży na mnie jednym, mniejsza czeka na organizatora. Na prowincji — w starych organizacjach przebudowa idzie szybko, w nowych nie tak śpiesznie, bo materiału do budowy brak, a i ludzi do prowadzenia organizacji też. Plan nasz — zmobilizować sztab, centrum ułokalizować w Warszawie, tak, by było zawsze na miejscu, zmobilizować technikę i podoficerów ruchu, wytworzyć z tego organizacji karną z raportami, rozkazami dziennymi i t. d. Szerzej o tem pisać tymczasem nie chcę. Nastroj — wśród mas wzrasta rewolucyjność — z prowincji obecnie danych nie mam, mówię tylko o Warszawie — i to dosyć gwałtownie, wśród inteligencji istnieje szukanie pana nad sobą, pana silnego, a wśród burżacji lekkie przestraszanie, ale i nadzieja, że spokój będzie utrzymany. Charakterystyczne jest, że ugodowcy powstrzymują swe skrajne elementy od przejawów lojalizmu, by nie stworzyć kontragacji i kontrwystąpień. Piltz jednak i Dobiecki agituja, by zbierać podpisy i adresy wiernopoddanych poddań. N. D. prowadzi chytą politykę, politykę dosyć dla nich zgubną. Każą siedzieć cicho — to publiczne, a po kątach mrugają na swoich, że przygotowują jakąś akcję, względem P. P. S. występują obecnie miękko, jeśli okazemy się gorętszymi, lepsze żywioły napewno odpadną. Plany nasze — podnieść obecnie nastrojów i najrozmaitszymi kawałkami brud manifestacji patriotyczno-rosyjskich, zarazem posłużyłoby to do zyskania na wpływie, przypieczenia tołstosławów i uczynienia ludzi, jednych skłonniejszymi do poddania się naszemu kierownictwu, drugim — do pertraktowania z nami. Prasa — w „Robie”⁶⁾ będzie artykuł o wojnie ostrzejszy, zawierający te rzeczy, które zostały opuszczone przez niewydanie projektowanej odezwę. Prawdopodobnie damy drugą odezwę, potem drugi numer „Roba”, i to wszystko nagwał. Stawiamy nowe interesy, by mieć pod ręką odezwę. Mamy zamiar w najbliższym czasie zacząć wydawać nadzwyczajne dodatki do „Roba”, i „Przedświtu” o wojnie, w których dawałbyśmy te rzeczy, które przez cenzurę nie puszczono, i przeglądy polityczne krajowe i zagraniczne. O tem tymczasem szę — bo się boję, by n. d. nie ubiegli nas. O tem z wami pomówię w najbliższym czasie. Ważną placówką jest „Naprzód”. Plany moje korespondencyjne rozbiły się — jeden z facetów ciężko zachorował, drugi musiał wyjechać. Zostałem więc bez pomocy. Tymczasem dawać robione korespondencje, a z czasem od drugiej połowy marca zorganizuję stałą pocztę i stałą raz albo dwa razy na tydzień komunikację z wami i „Naprzodem”. W „Naprzodzie” robić wojowniczy ton konieczny, wskazywać na konieczność akcji politycznej przeciw Rosji, starać się o stosunki z innymi partiami socjalistycznymi w Niemczech, i t. d. i tak choć trochę prasę inspirować. Stosunki z innymi organizacjami — z „Bundem” mieliśmy rozmowę, ci nie odczuwają powagi pozycji, ale bodaj że dadzą się sprowokować, biorą⁷⁾ ich okropnie raz po raz dziesiątkami i setkami, komitety ich w Wa i Wi⁸⁾ zabrane w czasie zebrania. Ma się odbyć druga randka, gdy dadzą odpowiedź na to, czy będą szli z nami przy wystąpieniach ręką w rękę z tym samym celem, co i my, nie zaznaczając odrębności politycznych ideałów i dążeń. Ze sprowokować się dadzą nie jako organizacja, ale jako ludzie, tegom pewien. Z L. S. D., Białorusią i Łotyszami — mamy wydać wspólną odezwę z powodu wojny i postaramy się, by te stosunki utrwaliły się na zawsze jako coś ogólnego, sądząc z nastroju L. S. D. to zupełnie możliwe, mają oni duże stosunki na wsch. co bardzo ważne, z Łotyszami nawiązujemy stosunki przez nich. Z Finlandją robimy próby nawiązania czegoś tam, nastrojów cię — cieszą się z przegranej Rosji, lecz jeszcze na to nie rachują. Komunikowali nam, że Anglia pytała wybitniejszych przedstawicieli o pozycję, co zamierzają czynić w razie wojny Anglii z Rosją, odpowiedzieli, że sympatie ich są po stronie Anglii, ale

6) „Rob” — „Robotnik”, mowa tu o artykule, cytowanym już wyżej.

7) Biorą — aresztują.

8) Wa — Warszawa, Wi — Wilno.

czynnej pomocy nie obiecują. „Proletariat” — okropnie się zasyłał, brano ich kupkami cały czas, nawet żandarmami przy badaniach mówią następującą formułkę o „Proletariacie” (autentycznie): „Tak jak „Proletariat” nie nachodził opory w swojej agitacji w śriedie raboczych, to on rzucił wospatat⁹⁾ młodzież”. S. D. milczy i prawdopodobnie robi kłapę zupełną. Wreszcie Rosja — S. R. wybrani strasznie. Jakoby Kaczura, który strzelał do Obolenkiego, zasypał ich najlepsze siły. 18 lutego st. stylu ma być sąd nad 8 facetami w Petersburgu, mają być dwa wyroki śmierci. Sił nie mają s. decy. Są anemiczni, jak to sprostować z odezwą złączoną. Patriotyzm bezwzględny wrzucił, podsyłany przez legalne pisma, czytane obecnie przez wszystkich, kto sylabizować umie. Ani jedno, literalnie ani jedno pismo nie zajęło jako tako przyzwolito, chociażby biernego stanowiska. Naturalnie to wpływać musi. Próbuja urządzić coś w rodzaju kontrmanifestacji, ale słabo to idzie, chociaż kursa bestużewskie są zamknięte, za protest przeciwko wiernopoddanym uczuciom wyrażonym w imieniu kursów przez rektora. Rusini — dobrze się popisują, zajmują stanowisko ultra-rewolucyjne, mają stosunki z L. S. D., przez nich trafimy do nich. Wreszcie moneta — z tem najgorzej. Ożywienie odbiło się na większych wpływach niż dotąd, ale to idzie na zwiększenie wydatków. Budżet nasz wzrósł musiał o 1000. Gdy niedawno układaliśmy budżet miesięczny (Kom. Wyk.)¹⁰⁾, liczyliśmy wydatki na 600 — 700 rs. Teraz już drugi budżet wynosi — 1300 — 1400 rs. W tym miesiącu wyznaczyliśmy 150 rs. dla was, którzy wysyłacie wkrótce, albo sam przywiozę. Trzeba teraz z monetą przeczekać chwilę, wyteżając wszystkie siły aż się wytworzy pewien nastroj, który się da zlikwidować w postaci monetarnej — w tysiącach, tak jak teraz go likwidujemy w dziesiątkach, najwyżej setkach. To tyle o sytuacji, teraz parę interesów, a potem materiały, z których zrobić trzeba korespondencje do „Naprzodu”. „Promieniści” proszą, by nie używać adresu administracji „Kraju”, jaki był dany, bo adres się zasyłał. Warszawa pyta, czemu Leon nie zużył adresu dla posyłania wprost listów i poszczególnych numerów przez wrzucanie na odpowiedni adres do kurjera na Warszawę, Facet chodzi i chodzi, czekając, by taki list przyszedł, i dotąd go nie ma. Jerzy¹¹⁾ mi mówił, że z Leonem o to się umówiłem zupełnie porządnie.

Więcej interesów nie mam. Aha — prosilem o adres Dębskiego. Otóż facet, co ten list zawiezie w niedzielę, w poniedziałek wieczorem zajdzie do tego samego miejsca, gdzie list ten zostawił. Dajcie mu tam adres Dębskiego w Ameryce. Potrzebny mi jest dla dania go facetowi, jadącemu do Ameryki, zarazem napiszę do niego, że jeżeli otrzyma z Europy depeszę, żeby spotkać na takim i takim okoliczności takiego a takiego — jak będzie podpisał depeszę, niech go spotka i zaopiekuj się facetem. Jest to mój dobry znajomy i towarzyszy, który nieraz nam usługi oddawał. Jedzie w interesie prywatnym. Facet, co list przywiezie, to zwykły sympatyk.

Ziuk.

Teraz materiały do korespond. Będą nieporządnie ułożone, bo czasu mam niewiele. Z placu boju — z tych notatek możecie ułożyć albo jaką korespondencję do żołnierza, albo też od faceta jakiegoś stamtąd, wiadomości są autentyczne i zupełnie wiarogodne, niektóre z nich ze źródeł urzędowych, inne z listów.

Rosja do wojny nie przygotowywała się na serio. Na dziesięć dni przed wybuchem wojny w Mandżurji ogólnym zdaniem było, że „Japoncy nie posmieją atakować Rosji”. W Porcie Artura zapasów węgla niema, w admiralacji Stark kradł tak dobrze, że w eskadrze przy wypłynięciu brakowało wszystkiego — zapasowych części statków, łodzi, nabojów etc., został obecnie za to wyrzucony. Żywność otrzymywali przeważnie morzem z Ameryki i Odesy z wyjątkiem mięsa, które szło z Mongolji, sąsiedniej prowincji. Mieszkańcy niema — żołnierze nieraz mieszkają w wagonach kolejowych, które wprost zabierają od kolei, która w ten sposób traci tabor, albo na mrozie nocują w namiotach na gołym polu. Czytałem

10) Komisja Wykonawcza — jedna z instytucji partyjnych.

11) Jerzy — Adam Bujno.

list jednego żołnierza do swego stryja, list pisany na parę tygodni przed wybuchem wojny, — skarży się tam na brak pożywienia i dobrego mieszkania, — z jego to listu biorę rzecz o namiotach, — następnie zaś mówi: „Wojsko nasze topnieje, ludzie jeden za drugim znikają, tak że nie wiemy gdzie się podziewają”, — prawdopodobnie idą na maruderkę lub giną pojedynczo z rąk chunchuzów. Co do przewozu wojska i zapasów wojskowych. Utworzone są dwie komisje: jedna intendencji, druga transportu wojska. Dwie te komisje zwyczajem rosyjskim kłócą się pomiędzy sobą i podstawiają sobie nogę. Tak druga komisja w czasie mobilizacji Syberji nakazała wyrzucić na stację z pociągów transporty intendencji i napełnić wagony — naturalnie nieopalone — żołnierzami, wysyłając ich na wschód. Z temi wagonami zdarzyła się brzydka historia. Pierwsze transporty wojska wysłano bez ciepłej odzieży w nieopalanym wagonach. Skutek był taki, że z pociągów wyciągano potem mnóstwo trupów lub kalek z odmrożonymi rękami, nogami lub innymi członkami ciała. W jednym pociągu znaleziono literalnie dwa wagony (80 ludzi) zamarych na śmierć żołnierzy. Obecnie nagwałt przerabiają wagony towarowe na wojskowe — objają je wojskiem wewnątrz i wstawiają okienka. Powołanie tak wielkiej ilości lekarzy z całej Rosji — przyczem brano głównie Żydów i Polaków — tłumaczy się tem, że liczba chorych w armji czynnej oraz transportowanej przerażająco wzrasta. W akademii jenerałego sztabu jakiś pułkownik miał wykład o tej wojnie — przyczem wyliczył, że przy obecnych środkach transportowych Rosja może co tydzień wysyłać na plac boju 5 tys. ludzi najwyżej, że dla utrzymania ściślejszego kontaktu bazy operacyjnej, jaką bezwzględnie jest europejska część państwa, z tak dalekim terenem walki należałoby mieć 5 torów kolejowych a nie jeden, jak jest obecnie.

Manifestacje patriotyczne jak dotąd są robione sztucznie, albo przez młodzież gimnazjalną, podniecane przez profesorów i prowadzone przez nich, albo przez lumpen najgorszego gatunku, widzącą w tem możliwość łatwej kradzieży. W Petersburgu i Kijowie, a prawdopodobnie i w innych miastach, złodzieje i rzemieślnicy korzystają z okazji. Zanotowano, że nieraz przy podrzucaniu oficerów na hurra znikały im zegarki i pieniądze. W Petersburgu wprost zakazano tej zabawki W Odesie gwardonaczalnik nakazał zaprzestać manifestacji patriotycznych. U nas zaczęto naczalstwu w gimnazjach wciąż pali do Rosjan sztabów specjalne mowy — lekcje upływają nieraz na czytaniu gazet i gawędach politycznych. W zesłań niedzielę miała być urządzona manifestacja patriotyczna w Warszawie przy wejściu z cerkwi na Miodowej. My w sobotę dowiedzieliśmy się o tem i zdążyliśmy zmobilizować swoich ludzi, by temu przeszkodzić. Dowiedzieli się o tem i ugodowcy. Zaraz jazda do zamku zaklinać Czerkowa i jego dyrektora kancelarii Mienkina, żeby nie prowokować ludności. Mienkin dumnie odpowiedział, że „u nas na to stylki jest”, ale jednak manifestacji zabiehanie. Nasi zebrał się z kijami na Miodowej i Krakowskiej. Czekali długo, lecz manifestacji nie było. Na wszelki wypadek — wobec tego że raz taką manifestację urządzono popołudniu na Marszałkowskiej — urządzono zejść się po obiedzie tam. Popołudniu zebrało się dużo ludzi na Marszałkowskiej po obu stronach ulicy z kijami w ręku. Było dużo Żydów-robotników i — z uznaniem to podnieść należy — bundowców, którzy przyszli pomóc swym towarzyszom z P. P. S. w tym wypadku. Manifestacji nie było i w tym czasie. Ludzie znużeni oczekiwaniem postanowili sami zmanifestować. Zaczęto śpiewać „Czerwony Sztandar” i „Warszawiankę”. Śpiew brzmiał to tu, to ówdzie, uformowało się coś w rodzaju pochodu z kilkuset ludzi. — do tświacą. — i to ruszyło ku Królewskiej, potem na Graniczną ku Karmelickiej. Śpiewano wznoszono okrzyki na cześć P. P. S., republiki polskiej demokratycznej, niepodległości Polski, przy spotkaniu z oficerami krzyczano: „Precz z militarizmem!”. Tragiczny wypadek ze stróżem miał miejsce w sposób następujący. Stójkowy chciał wstrzymać pochód, lecz sam się nie odważył, a zachęcał stróża do tego. Stróż nie chciał iść z nim. Stójkowy zaczął go bić. Na to podbiegła don kupka manifestantów i poczęła go tarmosić. Stójkowy wyjął pałasz, ludzie odskoczyli od

niego, i pomiędzy tłumem szmer głosów: „Czy niema rewolweru?” — na to obrońca porządku zmieknął i uciekł do bramy. Stamtąd zaś wyskoczył pomocnik stróża z kijem w ręku i krzycząc „W imieniu cara rozchodźcie się” rzucił się na tłum. Kij mu odebrano i odepchnięto. Chłop powrócił z poważnym drgiem w ręku i wołał: „Rozchodźcie się w imieniu cara”, wówczas go ktoś uderzył sztydem czy nożem. Chłop dobiegł do bramy i upadł, umarł.

Na miejsce Lichaczewa ma być Chrzanowski, policmajster z Łodzi, albo Karnakowski, naczelnik żandarmów kolejowych. Na miejsce Fullona jeden mówi: nikt, t. j. że będzie zniszczona ta posada, inni, że ma być Markgrafski, dotychczasowy pomocnik Fullona¹²⁾. Ta druga wersja świadczyłaby o chęci ugody, bo to jest pułkownik-publicysta w ugodowym kierunku. Rosjanie puszczają wszędzie pogłoski o tem, że car chce zrobić ustępstwa Polakom, że ma być Polak namiestnikiem, że jeśli tu sprowadzą wojsko, to dla obrony od Niemców, którzy chcą okupować Królestwo, a przynajmniej lewy brzeg Wisły. Zarazem rząd wymaga, by na kolei wiedeńskiej powiększono procent służby Moskali. Ustanawia się stan obłożenia pocichu. W Warszawie i miastach wzmocniono etat stróżów kamienicznych. W Warszawie nakazano im dyżurować na ulicach jak stójkowym. Dyżur następujący od każdych 10 domów — 5 z jednej strony i 5 z drugiej — od o rano do 1 w dzień jeden, od 1 do 6 wieczór drugi chodzić musi po ulicy, nie ma prawa uciekać ani rozmawiać z kimkolwiek — gorzej niż żołnierze na „karaule”, bo ci dyżurują zaledwie 3 — 4 godziny. Mają dbać o to, by ludzie z pakunkami nie wchodzili do domów, i nie pozwalać, by na ulicach zatrzymywano się więcej niż po 3 osoby. O 5 rano każdy z nich musi obejrzeć swą kamienicę — wszystkie schody, piwnice i strychy i zrana złożyć raport o swej kamienicy. W miastach wzmocniono stróżów i dodano szpicli — w takim Sosnowcu przysłano 60 nowych szpicli. Po wsiach ustanowiono zastawy na drogach z sołtysami i chłopów, którzy mają badać przejeżdżnych o paszporty, poco jadą i t. d.

Wyznaczono zaraz po wojnie 1800 tys. na „usilenie departamentu policji” i mianowano 36 nowych oficerów żandarmierji z odpowiednią ilością podoficerów.

Ugodowcy, Zaraz po wojnie Radziwiłł Maciej i Wielopolski udali się do Zamku, składając czołobitność w imieniu Polaków. Czerłkow odpowiedział, że oni jako „pridurnyie cziny” są do tego obowiązani, że dla takiej drobności cara facytować nie warto, ale gdyby tak złożono adres z odpowiednią ilością podpisów, miałoby to znaczenie i przyjęłoby w Płocie z przyjemnością.

Wobec tego Dobiecki na posiedzeniu dyrekcji ogólnej Towarzystwa Kredytowego zaproponował złożenie takiego adresu w imieniu Polaków — Górski, również ugodowiec, sprzeciwił się temu, i rozpoczęto narady, przyjechał Piltz i zaczął nagwałt radzić. Myślano o urzędowaniu oddziału polskiego Czerwonego Krzyża z szarytkami i kapłanami polskimi, wobec tego że ilość Polaków dochodzi w wojsku w Mandżurji do 35%. Radzono o adresie. Dotąd nic nie postanowiono, bo umiarkowani obawiają się kontrmanifestacji. Zbierano się dwa razy 21 i 22 lutego, drugi raz w Czwetworskiego w tej sprawie. Głównymi agitatorami tej sprawy są Dobiecki, Piltz i Skarżyński. Ugodowcy mocno zmieknęli i szukają nawet porozumienia się z nami.

Główną obawą wszystkich stronnictw jest mobilizacja, która, gdyby była przeprowadzona, doprowadziłaby przy obecnym nastroju do krwawych rozruchów i gwałtów z obydwóch stron — rosyjskiej i polskiej. Wśród mas obecnie to główne pytanie, czy organizacje są gotowe na wypadek mobilizacji, bo ludzie sobie postanowili, że nie pójdą, i bić się będą chociażby bez nadziei zwycięstwa.

Dosyć.

Z.

12) Lichaczew — oberpolicmajster W. Chrzanowski pozostał w Łodzi, Fullon — pomocnik generał-gubernatora spraw policyjnych. Po Fullonie nowo mianowany został gen. Krasnow, Margrafski przyszedł na tożsako po Czerkasowie w połowie 1905 r. i pozostał do śmierci, t. j. do 1906 r.,

SPOŁECZEŃSTWO A MEDYCYNĄ

Na marginesie książki Pawła Garta „Zachorowałem...”^{*)}

Ankieta „Wiadomości Literackich”

Doc. dr. Władysław Sterling

Żyjemy w środowisku, dla którego moda jest najwyższym nakazem: modne jest obcene opętanie bridżowe, modne są domy w kształcie pudełek, modna jest szarańcza reportaży, od pewnego zaś czasu modne się stały napaski na medycynę i lekarzy. Takim atakiem jest książka p. Garta p. t. „Zachorowałem...”, która zasługuje na odprawę nietyłe w powodu swej treści, ile raczej swej **symptomatyczności**. Nie jest to powieść ani studium, lecz coś w rodzaju pamiętnika upstrzonego kwiatkami dywagacji seksualno-erotycznych, nadzianego rodzynkami anegdotek o medycynie i lekarzach, przepisanych z odpowiednich popularnych zbiorów, i najeżonego kolcami złośliwości w stosunku do lekarzy warszawskich, których leitmotivem jest nieudolność i chciwość.

Powiedział kiedyś Börne, że każdy człowiek ma prawo być głupim, ale są ludzie, którzy nadużywają tego prawa. Otóż lekarze z książki p. Garta stanowczo nadużywają. Niema co mówić — ładna kolekcja! Toteż autor traktuje ich odpowiednio, czepia się każdego ich powiedzenia, chwytając ich na gorącym uczynku niekonsekwencji, demaskuje ich błędy rozpoznawcze, piętnuje bezskuteczność ich zabiegów, gromi za lekomyślność rokowania i metodą sokratesowską — z wzbudzającą podziw łatwością — sprawdza ich rozumowania do absurdu. A przecież chodzi tu nie o lekarzy pierwszych zbrzeża, ale o tych najlepszych, wybranych przez rodzinę i przyjaciół z szarego tłumu, o tych (o zgrozo!) najkosztowniejszych, można powiedzieć — o elitę lekarską, a nawet profesorów uniwersytetu. Poprostu strach pomyśleć, w jakich rękach znajduje się zdrowie i życie ludzkie w stolicy wielkiego państwa.

Wszystko to naturalnie ma pretensję do persyliżu współczesnego świata lekarskiego. Mój Boże, ile to już ich było, od Molière'a począwszy a skończywszy na młodszym Daudecie („Les morticoles”). Wszystkie one jednak tylko wtedy mają rację bytu, jeżeli są trafne, zabawne i zabawne. Ale tak jak zwietrzałe anegdot-

ki nie są jeszcze dowcipem, jak płynność narracji nie jest jeszcze równoznaczna z talentem, tak obrazek namalowany samą złością nie dorasta jeszcze do poziomu satyry. Możeby od biedy starczyło tego na bezpretensjonalny feljeton, ale w każdym razie nie na całą książkę. Dlatego w sumie rzecz jest monotonna i nużąca, nie wzbudza ani sympatii dla cierpienia pacjenta, ani respektu dla jego hartu psychicznego, ani zaufania do jego krytycyzmu.

Napisał ktoś, że książka ta wydaje mu się niepotrzebna. Moim zdaniem, jest ona wręcz szkodliwa, ponieważ zupełnie świadomie i bardzo niesprawiedliwie obniża prestige moralny naszego stanu lekarskiego. Znam dobrze jego światła i cienie, ale znam również stosunki zachodnio-europejskie i mogę zapewnić autora, że bezinteresownością lekarz polski o niebo przewyższa kolegów swoich z Francji, z Niemiec czy z Anglii. A przecież cała książka przepelniona jest po brzegi furją z powodu konieczności kosztownego opłacania pomocy lekarskiej. Nie mam powodu odchyłać przyłbicy tajemniczego pseudonimu, osłaniającego osobę autora, ale przecież po rozmaitych brukowcach i czerwoniakach lansowane były rewelacje, że książka napisana została przez „znanego mecenasa”, a więc nie jakiegos niedarza, zasługującego na jałmużnę ulgowej pomocy. Znany powszechnie zwyczaj znakomitego klinicysty, pobierającego o prócz honorarium również opłatę za takśówkę, jest przecież zdziwaczem zupełnie odosobnieniem w swej groteskowości. Jeżeli kiedyś słynny prawnik na zapytanie klienta: „Ile będę panu mecenasowi winien za prowadzenie sprawy?”, huknął pięścią w biurko i ryknął: „Nic pan nie będzieś winien, zgóry pan zapłacił!” — to przecież nie świadczy to jeszcze o zachłanności całej adwokatury polskiej, która szczyty się nazwiskami Peplowskich, Papieskich, Patków i Berensonów. Jak w każdym wolnym zawodzie, tak i wśród lekarzy walka o byt wyłożyła niekiedy linie charakteru i powoduje rozdziewki pomiędzy czynnem a posłannictwem. Są prawnicy, prowadzący wbrew przekon-

niu sprawy wątpliwej czystości, tak jak bywają lekarze niesumienni i wyzyskujący. Ale czyż to może świadczyć o ideologii polskiej korporacji lekarskiej, która wydała Dietlów i Chałubińskich, Matlakowskich i Żeleńskich, Duninów i Gold-
flamów? Przecież to nigdzieindziej, tylko tutaj narodził się Judyń — ów najpiękniejszy w piśmiennictwie świata symbol lekarza-ideologa, społecznika i bojownika.

Wydaje mi się również, że dla książki tej bardziej odpowiedni byłby tytuł „Ocalałem...”. Koniec końców przecież autor wyzdrowiał — pomimo tak ciężkiej i długotrwałej choroby i pomimo tak nieudolnej i kosztownej opieki lekarskiej. Ale jest on dzieckiem szczęścia nie tylko z tego powodu. W stosunkach naszych należy do najpiękniejszych rzadkości, ażeby jakaś książka mogła poszczycić się w tak krótkim czasie tak obfitą prasą. Najlepsze utwory literackie, najpoważniejsze dzieła naukowe nieraz całami latami czekają bezskutecznie na krótką choćby wzmiankę, a tutaj już po kilku tygodniach dziesiątki sprawozdań w prasie codziennej a nawet lekarskiej, ankieta w najpoważniejszym piśmie literackim, ba, mówią nawet o wyczerpaniu nakładu. Nie przypuszczam jednak, ażeby było to wynikiem zainteresowania indywidualności autora albo walorów literackich jego książki. Sprawił to raczej posmak niezdrów sensacji, którą cała jest przesycona. Przecież warszawska fama od ucha do ucha podawała sobie wiadomość, jak to autor „urządził” kilkunastu znanych lekarzy stołecznych, okrytych wprawdzie przejrzystymi pseudonimami ale dających się z łatwością zidentyfikować. O smaku jego świadczy wymownie fakt, że pozwał sobie na rozgrzebywanie spraw materialnych i osobistych, a nawet małżeńskich szeregu niepospolicitych lekarzy, między innymi takich, z którymi jako pacjent nie miał wcale do czynienia.

Kilku moich znakomych kolegów, o burznych całą tą napaską, uważało za stosowne wystąpić z obroną biednej i pohanbionej wiedzy lekarskiej. Wydaje mi się, że można było sobie zaoszczędzić całej tej fatygi. Czy istotnie zachodzi potrzeba pocunania publiczności np. o fantastycznych postępkach techniki chirurgicznej, z powodu kilkunastu stron lamentów nad bolesnością cewnikowania moczowodów? To tak jakbydy Bruno Winawer czuł się zobowiązany kropsnąć apologię nowoczesnej fizyki dlatego że rozplakało się dziecko, które oparzyło się zapalką. Spokojny zupełnie jestem o przyszłość i potęgę nauki lekarskiej nawet po przeczytaniu książki p. Garta. Dajmy więc spokój tym wszystkim obronom. **Trop de bruit pour une omelette.**

Dr. Szymon Lewinson

Książki p. Garta p. t. „Zachorowałem...” nie uważam wcale za „akt oskarżenia” medycyny współczesnej. Nie jest ona również satyrą na lekarzy, jak to twierdziło jedno z codziennych pism warszawskich.

Wydaje mi się, że p. Gart poprostu czuł potrzebę opowiedzenia swoich przeżyć i cierpień, które nawiedziły go w czasie długotrwałej i powikłanej choroby, i napisał coś w rodzaju pamiętnika.

Pomimo niezwyklej pamięci i naogół dość obiektywnego stosunku do lekarzy, p. Gart uległ temu co właściwie jest wszystkim chorym — wyolbrzymił swoje przeżycia i cierpienia. W książce jego zjawiska najnaturalniejsze, rzeczy zwykłe, jak np. drobne załęgi, badania lekarskie,

Ułoża autora książki „Zachorowałem...” przesuwają się, jak w kalejdoskopie, t. zw. elita świata lekarskiego, bezowocnie usiłująca dotrzeć do źródeł choroby pacjenta i ustalić przyczynę gorączki i bólu w boku. O pierwszeństwo koncepcji szukania genezy domniemanej choroby nerki w wyprysku na palcu ubiega się dr. Brun; rozpoznanie to aprobuje wezwany na konsylium prof. Soliski, wybitny klinicysta, za co każe sobie zapłacić 100 zł. i 10 zł. za takśówkę.

Leczenie nie daje wyników, co zmusza chorego do zwołania nowej narady, tym razem dr. Bruna z urologiem Uro-nem, który oszołomiony autorytetem prof. Solskiego, znajduje infekcję miedniczek nerkowych lub ropień w okolicy nerki, a wszystko znów prawdopodobnie ma swój prapoczątek w nieszczęśliwym palcu.

Wobec braku poprawy chory zwołuje trzecie konsylium, powtórnie z prof. Solskim, z honorarium 100 zł. i 10 zł. za takśówkę; tym razem hipoteza palca została zarzucona, i prof. Solski skierował chorego do sanatorium podmiejskiego.

Leczenie w sanatorium zawodzi, gorączka i ból w boku nie ustępują. Na naradę zawezwano chirurga prof. Świderskiego, dawniej wzór bezinteresowności, dziś poddającego się przyjętym zwyczajom pobierania dość znacznego honorarium w związku z posiadaniem dwóch żon.

Do chorego zaprasza się znajomy dr. N., znajdując infekcję w zębie, bierze honorarium i jeszcze namawia nieszczęśliwego pacjenta na konsylium z dość drogim dr. Klodeckim, dyskretnie ironizującym diagnozę płucną Solskiego. Puszczono w ruch punkcje, iniekcje mleka, autohemoterapia, kroplówki, kąpiele elektryczne, nie dają efektu. Gospodyni sanatorium namawia chorego do wyzyskania przyjazdu dr. Lamberta, który wziął 400 zł. za przybycie do chorego i może przy sposobności odwiedzić naszego delikwenta. Chory nie daje się namówić na tę propozycję, pamięta bowiem, że dr. Lambert, wezwany do umierającej osoby, domagał się zapewnienia mu podwyższonego honorarium z racji święta.

Chory opuszcza wreszcie sanatorium bez poprawy i udaje się do lecznicy, gdzie wykonana peflografia wykazuje „zamazania w okolicy nerki”, a cystoskopia tego nie potwierdza. Wezwanie na konsylium dr. Kwietniewskiego powoduje demarche dr. Sterka, grożącego, że opuści chorego o ile Kwietniewski będzie nadal brał udział w leczeniu. Kwietniewski nie decyduje się na operację, co widocznie chory uważa za wyjątkową okoliczność, gdyż przytacza zdarzenie z prof. F., który radzi dokonać operacji wrzodu

a nawet mało znaczące rozmowy z lekarzami lub otoczeniem wyrastają do rozmiarów wielkich wydarzeń.

Tylko dla lekarza zrozumiałe jest pewne zniecierpliwienie, a nawet niechęć pacjenta do niego, wzrastające w miarę przedłużania się skomplikowanej choroby. Czytelnik nieobeznany dobrze z psychologią chorego łatwo może wysnuć z tej, jednej zresztą w swoim rodzaju, książki mylne wnioski. Stąd mogła powstać błędna interpretacja intencji autora.

Mam wrażenie, że przeciętnego czytelnika książka ta nie może zbytnio zainteresować; ciekawa może być jedynie dla małego grona osób ze sfer lekarskich i otoczenia autora.

Dr. Teodor Łapiński

niej odnoszą się do społeczeństwa i uciekają do samotności.

Podobnie i wśród pacjentów spotyka się kilka typów. Jedni wymagają od lekarza szybkiej poprawy, lekarstwo nie pomaga, zwracają się do innego, lubią przytem dać do zrozumienia, ilu to było lekarzy u pacjenta; ludziom takim sprawia przyjemność, jeżeli mogą zaznaczyć, że był profesor i wziął grube pieniądze. Takie jednostki nie zwracają zwykłe uwagi na życzliwość, sumiennność i wiedzę, jaką okazał lekarz przy ich łóżku. Istnieją jednak pacjenci, i to liczni, którzy odnoszą się do uciwczego lekarza z całą życzliwością, a priori przypisują mu wszelkie zalety i z czasem przywiązują się do ordynującego lekarza; stwarza się miły stosunek. Tacy pacjenci są najszcześliwsi, zaufanie bowiem do swego lekarza gra wielką rolę w skuteczności kuracji. Do takich pacjentów zaliczam autora i bohaterkę książki „Zachorowałem...”. Dzięki żywiołemu stosunkowi do lekarzy autorowi udało się uniknąć jednostronności i możliwie racjonalnie skreślić fabułę.

Książka wywołała zainteresowanie, któremu dają wyraz „Wiadomości Literackie” organizując na jej temat ankietę wśród najwybitniejszych przedstawicieli warszawskiego świata lekarskiego.

Dr. Kazimierz Szokalski

na szyi, aby wrzód sam nie pękł i nie przepadło honorarium.

Gdy oficjalna medycyna nie pomaga, chory za aprobatą przyjaciela swego, wenerologa Ewarta, wzywa znanego znachora, który cudów dokazuje, honorarium nie bierze z wyjątkiem opłaty za lekarstwo, wynoszącej 235 zł. Orzeczenie tego maga głosi: nerka przeciągnięta jest materją dookola tak jak galareta, pozatem — zmiany w nadnerczu. Cudotwórca zakazuje jeść barszcz, obiecuje szybkie wyleczenie i naznacza choremu rendez-vous w knajpie po swoim powrocie z urlopu. Chory narazie jest całą duszą po stronie znachora. Nie zdążył jednak autor wyzyskać wskazaówek cudotwórcy, które już zresztą z dr. Ewartem zaczął poddawać krytyce, gdy ciepłota raptownie zaczęła spadać do normy i bóle w boku ustały. Na pożegnanie, dr. Uran, otoczony sztabem asystentów, ucałował chorego, pieczętując w ten sposób stygmatem miłości bliźniego swój stosunek do niego wzamian za brak sukcesów leczniczych.

Należy sobie zadać pytanie, cui bono została puszczona w świat ta książka, jakie korzyści da ona czytelnikowi. Wszak nie przekonano go o samowystarczalności sił natury i zupełnem bankructwie medycyny praktycznej. Zwiększył się tylko może liczba malkontentów, szukających pomocy lekarskiej w świecie szarlatanerii. Tryumfować będzie autor jedynie pod tym względem, że powetuje swoje straty poniesione podczas choroby dzięki poczynności sensoryjnej książki.

Autor wyrwał fragment z praktyki lekarskiej i uogólnił go zbyt pochopnie w celu zdyskredytowania lecznictwa i ogółu lekarzy. Nie trzeba być literatem, naukowcem, aby zrozumieć, co za kolosalne wyniki i środki lekarskie, jak wielką rolę społecznie i indywidualnie gra profilaktyka, higiena i t. d. Wszak w ostatnich czasach zrobiono wielki krok naprzód w leczeniu cukrzycy, ciężkich postaci niedokrwistości, paraliżu postępującego. Jeżeli lekarzom nie udaje się nie raz zapobiec, przeciwdziałać chorobie, jeżeli nie są w stanie w wielu wypad-

kach wyleczyć chorego, jak często jednak mogą złagodzić cierpienia, zwolnić bieg choroby, osłabić jej natężenie.

Inną jest rzeczą sprawa ustosunkowania się lekarzy do chorych. Autor w książce swej przytoczył zdanie znakomitego chirurga Billrotha, że tylko człowiek dobry może być dobrym lekarzem. W całości podzielał to zdanie, lecz uważam, że nie wystarcza nawet stuprocentowy samarytanizm oraz wybujała fantazja jeżeli lekarz nie będzie pogłębiał swych wiadomości, poprzestając na czytaniu „Don Kichota”, polecanego przez drugiego wybitnego klinicystę, cytowanego przez autora. Należy ze smutkiem stwierdzić, że wielu lekarzy, którzy przewinęli się przed nami w książce „Zachorowałem...”, łączy wspólna cecha — gonitwa za zarobkiem, kopanie dołków pod kolegam, brak poczucia śmieszności w wyznaczaniu sobie honorariów, nieliczenie się z psychologią chorego i brak logiki w wyjaśnianiu choremu objawów choroby. Autor, prawdopodobnie z uznaniem, wspomina o taktyce pewnego wybitnego lekarza, który brał honorarium tylko za **udatne** wyniki leczenia. Znam wielu lekarzy, którzy zawsze, gdy biorą honorarium, mają uczucie zażenowania, i gdyby nie konieczność żyć, a raczej wygody z tego źródła dochodów. Mogę zapewnić autora, że niema lekarza, choćby to był największy egoista, któryby nie posiadał w swej życiowej hipotece całej masy bezinteresownych porad lekarskich. Autorowi nie podoba się, wobec beznadziejności w odgadywaniu źródeł jego choroby, niechęć lekarzy przyznania się do swej niemocy. Jestem przekonany, że autor, będąc lekarzem, nie miałby ani jednego pacjenta, gdyby zechciał dzielić się z chorymi wszystkimi swymi wątpliwościami.

Jakkolwiek przyjaciel chorego, dr. Ewart, „ma pogardę dla całego tego bractwa”, muszę jednak zaznaczyć, że inteligentowi nie wolno potępiać ryczałtem na podstawie pojedynczych przypadków wysiłku i ofiarności całych pokoleń lekarzy, których legiony oddają nierzaz życie, niosąc pomoc nieszczęśliwym.

Prof. dr. Ludwik Hirsfeld

Książka p. Garta porusza zagadnienie stosunku lekarzy do pacjentów, odzwierciedla doświadczenia i cierpienia chorego i jest niejako stwierdzeniem beznadziei medycyny rozpoznawczej i leczniczej. Ankieta redakcji „Wiadomości Literackich” skierowana była do mnie widocznie w tym celu, ażebym jako teoretyk ocenił, czy nastawienie lekarzy praktykujących odpowiada opisom autora i czy istotnie medycyna posiada tak chwiejne podstawy diagnostyczne.

Stosunek autora do lekarzy naogół jest ujemny; ironizuje na temat chwiejności ich sądów, metod leczenia, a przede wszystkim na temat skwapliwego pobierania przez nich honorariów i t. d.

Sądzę, że podobne ujęcie psychologii lekarza praktykującego jest jednostronne. W nastawieniu lekarza odróżnić należy trzy momenty: intelektualny, etyczny i zarobkowy. **Badając** chorego, dobry lekarz jest z natury rzeczy przede wszystkim intelektualistą, widzi przed sobą nie człowieka, lecz zagadnienie. Jego etyczne nastawienie niezbędne jest dla **podtrzymywania** chorego na duchu. Nie chodzi tu o klamliwy optymizm, lecz jedynie o obowiązek wiary za dwóch, a czasem choćby o udawanie tej wiary, które w pewnych momentach jest prostoprosto koniecznością z punktu widzenia dobra chorego. Ze w pewnej chwili wysuwają się również momenty zarobkowe — jest to bez wątpienia przykre, nie można tego jednak traktować jako sprawy zasadniczej. Uzależnienie wynagrodzenia od **datnego** wyniku pracy może nastąpić jedynie wówczas gdy na złe rezultaty wpływa jedynie złe wykonanie. Elektrotechnik nie otrzyma zapłaty jeżeli dzwonki nie dzwonią, otrzyma jednak zapłatę pedagoga, prawnika, lekarza i t. p., niezależnie od tego, czy wysiłek ich jest uwieńczony powodzeniem.

Pod jednym względem zarzuty autora są zrozumiałe. Kiedyś medycyna była w rękach kapłanów, tradycje kapłańskie zaś z trudem godzą się z płatnością zabiegu. Jest to konflikt realny i przykry, dla niektórych lekarzy tak istotny, że usuwają się wogóle od praktyki. Dlatego ideowość lekarzy mierzyć należy nie ich stosunkiem do chorego płaćącego, lecz do chorego bezpłatnego, do pracy szpitalnej. **W żadnym zawodzie nie pracuje się tak bezinteresownie jak w medycynie.** Higiena, która w swoich konsekwencjach podważa

praktykę prywatną, stworzona jest przez lekarzy.

Nikt nie widział, ażeby restauratorzy propagowali abstynencję, podczas gdy na czele wszystkich akcyj zapobiegawczych stoją lekarze.

Każdy osobnik podlegać musi ocenom z różnych punktów widzenia. Uczony nastawiony jest na problematykę, żołnierz — na ewentualną konieczność oddania życia i t. p. Szczętne te zawody posiadają jednak swoje niziny. Błędem jest mierzyć wartość ludzi danego zawodu małostkami i koniecznościami ich dnia powszedniego, nie zaś ich napięciem najwyższem. Prawdziwy jest poeta w chwili natchnienia i lekarz w chwili badania i leczenia — nie zaś w chwili gdy pobierają honorarium. „Odbronzowani” ludzie bynajmniej nie są prawdziwsi lub bliżsi życia.

Tyle w sprawie etyki lekarzy.

Autor zahaczył jednak i o medycynę doświadczalną, przytaczając eksperymenty na ludziach. Nie będę tutaj wdawał się w dyskusję szczegółową. Chciałbym jednak zapewnić autora, że zwyczajem badacza jest rozpoczynanie każdego niebezpieczniejszego doświadczenia przedewszystkiem na sobie czy też na ludziach dobrej woli. Radziłbym każdemu przeczytać książkę de Kruiffa i wzruszające opisy badań choćby nad żółtą febrą. Z naszych rodaków wymienilibym prof. Dzierżewskiego, który pierwszy pracował nad szczepieniami przeciwbłoniczemu. Dopiero po jego śmierci ogół dowiedział się, że ciało jego pokryte było bliznami od zastrzyków jadów błoniczych.

Wreszcie trzeci zarzut: chwiejność przesłanek rozpoznawczych. Sądząc z o pisu, autor cierpiał na zakażenie niewiadomego pochodzenia z umiejscowieniem w okolicach nerki. Niewidzialny świat zarazków otacza nas zewsząd. Często niepodobniestwem jest wskazać **źródło** zakażenia. Jest to tragiczna prawda, że można mieć ropień w nerce, wywołany przez drobnoustroje, pochodzące z zakażenia palca; ale **możliwych** źródeł wniknięcia zarazka do ustroju jest wiele, nie więcej, — i niestety, niezauważają się wykryć.

Cóż w tem tak dziwnego?

Groteska, napisana nawet w

lentem, jak „Zachorowałem...”

rzeczywistość skrzywioną. J

ła być odczuta przez spok

obraz prawdziwy — dzie

wie.

Dr. Gustaw Bychowski

Jeśli mniej lub więcej uświadomionym zamiarem książki p. Garta było pragnienie wyładowania nagromadzonego żalu i urazy do świata lekarskiego, to należy się spodziewać, że katharsis ta mu się powiodła. Byłby to zresztą jedyny cel, któryby usprawiedliwiał pojawienie się tej książki, gdyż pozatem nie wnosi ona przecież żadnych nowych walorów intelektualnych ani literackich. Do tylu znakomych przedstawień przeżyć człowieka cierpiącego i postaci lekarskich w literaturze świata nie przybyło tutaj nic co mogłoby w najmniejszej mierze z niemi się porównać. Niema tutaj rozległego diapazonu cierpienia jak w „Czarodziejskiej górze” Thomasa Manna, niema obrazu otchłani, w jaką zapada cierpiące stworzenie w „Umieraniu” Schnitzlera ani straszliwości cierpienia, wykrystalizowanej w „Promieniu” Żeromskiego, — coś można jeszcze powiedzieć o codziennych chorobach po niezapomnianych stronicach Prousta, co o realizmie cierpienia po Munthem i Céline'ie? Ale zapewne z cierpieniem i choroba tak się mają rzeczy jak z miłością: w tych odwiecznych tematach można zawsze jeszcze coś nowego odnaleźć, trzeba tylko umieć przeżywać je w sposób głęboki i godny.

Wprawdzie cierpienie, które wstrząsa podstawami bytu człowieka i budzi w nim najelementarniejszą trwogę (podług filozofa Heideggera wydobywa ją z istoty wszelkiego bytowania), zdolne jest do chwilowego pomniejszenia potencji duchowej cierpiącego — ale budząca się później krytyka i proces przetworzenia wewnętrznego minionych przeżyć winny by wskazkę podnieść całe to tworzywo na zupełnie inny poziom.

Pozostają lekarze. Odsuńmy narzucające się postacie wielkich lekarzy w literaturze, gdyż w procesie kathartycznym autorowi naszemu chodziło przecież o umniejszenie tych co go tak „nieumiejętnie” ratowali. Ale z tego punktu widzenia doprawdy uwagi naszego autora wyglądają przy satyrze Shawa tak jak słynne powiedzenie przeciwnika Cyrana de Bergerac: „vous avez un nez bien long” w porównaniu z następującą po niem salwą najświetniejszych tyrad samego Cyrana na temat tegoż nosa.

Pozostaje jako najciekawszy — bodaj że jedyny ciekawy moment — gorzka uraza do lekarzy i medycyny. Uraza ta, niezbyt interesująca i banalna sama przez się, staje się ciekawa jako ilustracja o-

gólnego a w każdym razie bardzo często spotykanego nastawienia. Muszą być jakieś głębsze przyczyny tej typowej dwiistości w stosunku publiczności do lekarza, stosunku, który oscyluje pomiędzy ślepem oddaniem i zaufaniem a podejrliwością i złośliwością. Niewątpliwie rozmowy o błędach, popełnionych przez lekarzy, wywołują zawsze najwyższe zainteresowanie, i widać nieraz, że ludzie oddają się im z prawdziwą pasją. Uciecha ta zdaje się również opromieniać memuary p. Garta.

Tego wszystkiego nie wytłumaczy nam stwierdzenie, że medycyna jest niedoskonała. Twierdzenie to rozumie się bowiem samo przez się, istoty jego nie doświadcza nikt z takim smutkiem jak sam lekarz, choć ma on na pocieszenie świadomość o wiecznem doskonaleniu się wiedzy, o jej ciągłych i olbrzymich postępach, o bezustannym zbiorowym i harmonijnym wysiłku badaczy całego świata w kierunku rozwiązywania corazto nowych zagadnień, pokonywania wszelkich nasuwających się trudności. Widać jednakże, że nie-lekarz, człowiek słaby i cierpiący, podchodzi do medycyny ze specjalnem nastawieniem. Wygląda tak jakgdyby ożywały w nim myśli i uczucia człowieka pierwotnego, dla którego lekarz był jednocześnie kapłanem, magiem i czarodziejem, obdarzonym olbrzymią mocą, dającą się obrócić na złe lub na dobre bezradnego pacjenta. Ten zawierzał mu siebie jak bezradne dziecko, pragnące pomocy, przekonane o wszechmocy szamana, ale niepewne jego zamiarów. Ufność dziecka zostaje zawiedziona już w chwili, kiedy się okazuje, że połączny opiekun zajmuje się jeszcze innymi dziećmi, albo co gorsza, innemi zgoła sprawami, toteż p. Gart notuje z boleściwym zawodem, że lekarze po odejściu od jego łóża boleści mówią o innym chorym, albo — o zgrozo! — o wyjeździe na lato.

Ża przypisanie magowi wielkiej mocy i przyznanie się w ten sposób do własnej słabości dobrze jest móc się zemścić i pokazać, że moc jego była zawodna. Trudno mu wybaczyć momenty własnej słabości i chwilową wiarę w jego wszechmoc szybką i niezawodną, stąd gniew i oburzenie. Tylko takie afekty tłumaczyć mogą złośliwość wybrzyków autora, która posuwa się do omawiania bez obłaski intymnego życia lekarza i wiązania z niem sprawy pobierania honorarium jako rzekomej zdrady ideałów młodości.

*) Książka Pawła Garta „Zachorowałem...” to, pamiętnik chorego, nad którego lożem pochylał się najwybitniejsi lekarze warszawscy, nie mogąc porozumieć się ze sobą w sprawie diagnozy choroby.

Fakty, komentarze, sprostowania

REWOLUCJA NA KUBIE

Wybitne fakty polityczne w chwili największego napięcia wyjątkowo tylko pozwalają na analizę ich przyczyn. Stają się odrazu zbrodnią lub szaleństwem. Oczywiście nie utożsamia się z rzeczywistością. Tam gdzie jest gest bohatera — widzi się demagogię, gdzie jest krektactwo — widzi się hart duszy... i naodwrot. Aktualność wielkiego faktu dokonanego walczą z jego analizą genetyczną.

W ten sposób trzeba oceniać wszystkie współczesne heroiki-komiczne rewolucje republik hispano-amerykańskich. Rzeczywiście ich jest inna od tego co widzimy w odbiciu aktualnych spostrzeżeń, filtrowanych przez pisma północno-amerykańskie, czy też w obojętnych i zbłądowanych uwagach Europejczyków.

Podstawą tych rewolucji nie jest dziś ambicja jednostek, lecz kręte drogi gospodarcze i finansowe, połączone z imponderabiliami psychologicznymi.

„Wyspa Kuba była dla nas krainą tytoniu, cukru, oraz — dla szlachty — ojczyzna Capablanki. Dla siebie krajem rewolucji typowo łańcisko-amerykańskiej rewolucji, która, jakby się wydawało z dzienników, stanowił bezsensu wulkaniczny, mowę demagogiczną, wygłaszana przy odgłosie strzałów rewolwerów, w takt stuk karabinów maszynowych, i nietyłe spazmem politycznym, ile scenką z dowolnej operetki.

Lecz przecież rzadko ludzie umierają operetkowo.

Kuba od czasów wojny hiszpańsko-amerykańskiej jest terenem eksploatacji finansjery Stanów Zjednoczonych pod przewodnictwem „First National City Bank” z Nowego Yorku. Pod pokrywką traktatu nałożonego na Kubię po wojnie, t. zw. „Platt Amendment”, penetracja wszechpotężnego dolara stała się do tego stopnia kompletna, że dziś w tej niezależnej rzeczywistości 94% majątku narodowego jest w rękach cudzoziemców, przede wszystkim Amerykanów, a obywatele jej we własnej swej ojczyźnie są helotami obcych akcjonariuszy, którzy nigdy na Kubię nie byli. Egoistyczna i monopolistyczna polityka bankierów i przemysłowców amerykańskich sprawiła, że kraj tak żyzny i bogaty sprowadza ze Stanów Zjednoczonych 90% wszystkich artykułów żywnościowych oraz wszelkie wyroby metalowe i przedmioty, produkując jedynie te dwa artykuły, które służą Stanom Zjednoczonym, nie wytwarzając im konkurencji: — tytoni i cukier.

Przytem biali Amerykanie na każdym kroku podkreślają wyższość rasową i kulturalną nad tubylcami, w przeważnej części potomkami Murzynów. W ten sposób, logiczną reakcją, patriotyzm „de los Cubanos” utożsamia się z rozjarzeniem spaprzonego społeczeństwa. Stowem, to samo podłoże ekonomiczne i psychologiczne co w Nicaragua, w Meksyku, w Panamie, na Haiti i San Domingo.

I skutki te same, a więc popieranie przez interesy amerykańskie skorumpowanych polityków, którzy za pieniądze służą obcym interesom, wyzysk ludności, zła administracja.

Konsekwencja: rewolucja, rewolucja, która się może wydać śmieszna dla wyniosłych lub obojętnych widzów, jak wszystko co jest beznadziejne: te rewolucje w Meksyku, Nicaragua czy na Kubię są rzeczywistością beznadziejną. Kto je zbliża widział, wie, że zaczynają się wspaniałym wysiłkiem poświęcenia i bohaterstwa, ale wnet wyrażają się w skrajnym fanatyzmie i okrucieństwie wojenne i znowu z biegiem czasu wpadają z jednej strony w rozpasanie namiętności fizycznych, z drugiej — w ideologię, im bardziej skrajną, tem bardziej niepraktyczną. Wkońcu rewolucje poprzę anarchy wracają znowu do starego cyklu dawnej polityki korupcji i wyzysku.

Lecz rewolucje te się mnożą. Kraje, nawet najodleglejsze od Wall Street, zaczynają odczuwać niebezpieczeństwo, co raz bardziej wyczuwają wspólnotę losu. Rewolucje stają się coraz częstsze, ale przytem — coraz mniej beznadziejne, i może przysięść w niedalekiej przyszłości chwila, że wybuchnie rewolucja już nie skazana zgory na upadek, lecz taka, która wspólnymi siłami republik północno-amerykańskich wywalczy niezależność gospodarczą i polityczną tych krajów.

ZIEMIANNIN I MINISTER

Część prasy polskiej, mówiąc o lordzie Greyu z okazji jego śmierci, nazywała go „estetą”. Może to była pomyłka co do osoby, bo inny minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanji, lord Balfour, był istotnie estetą, pisarzem i filozofem. A może poprostu była to pomyłka prasy polskiej, tak częsta w stosunku do polityków angielskich. Polityk angielski jest bowiem dla naszych dziennikarzy jakimś dziwnym stworzeniem: zimmym dyktantem, zaimmym sportsmenem, filozofem oderwanym od życia, perfidnym a genialnym ekonomistą jak w wannie kąpiącym się w „morque” i „insolence” angielskiej, wszystkim, stowem, tylko nie normalnym człowiekiem. A tymczasem polityk angielski jest takim samym właśnie człowiekiem, jak jego kolega polski, z temi samymi przyzwyczajeniami i zaletami. Lord Birkenhead np. był poprostu chamelem, sir John Simon jest wykrętnym adwokatem, Winston Churchill — zamasywym dziennikarzem, Stanley Baldwin — typowym filistrem i t. p.

Jeżeli chodzi o Greya, był on przede wszystkim ziemianinem, takim jak np. jest w pewnej mierze p. Meysztowicz, t. zn. przedstawicielem fizycznym i psychicznym „gentry”, ziemianstwa angielskiego, tej półarystokracji spędzającej większą część życia na wsi na łonie natury, a równocześnie wysoko wykształconej i interesującej się zagadnieniami intelektualnymi.

Lecz Grey jako Anglik miał swoje cechy narodowe. Więc przedewszystkiem był „insularny” do szpiku kości. Nigdy nie nauczył się żadnego obcego języka i do czasów konferencji międzyjańskich nigdy nie przejechał kanału.

Wies w jego życiu, jak u większości ziemian angielskich, nie oznaczała zajmowania się gospodarstwem rolnem, lecz używanie sportów wiejskich, a więc przede wszystkim polowanie par force (hunting), rybołówstwo oraz interesowanie się zwierzętami. Wydał książkę o rybołówstwie, napisał szereg artykułów o tem co „podluchał” u zwierząt, przyczynił się niesłychanie do powodzenia książki i idealów Al. Muntheo i t. p.

W obcowaniu z naturą i zwierzętami stał się niesłychanie ludzki, i ta ludzkość najbardziej charakteryzuje jego życie prywatne. Bo politykę ściśle odgraniczał od swoich sentymentów osobistych i upodobań codziennych. W polityce był bezwzględny, w życiu — sentymentalny. Podobno nawet „świat przeszedł kochając jedną”. Dawał dowody niezwykłej lojalności, np. stając po stronie Asquitha w chwili gdy intrzygi Lloyd George’a zisłowały go zupełnie i zmusiły do ustąpienia.

Opowiadał mi jego ówczesny sekretarz osobisty Harold Nicholson, dziś znany pisarz i publicysta, że po swej ostatniej zasadniczej rozmowie z ambasadorem francuskim Cambonem, która zadecydowała o wypowiedzeniu wojny Niemcom przez Anglię, Grey złożył głowę w ręce i zapłakał.

Lord Grey of Falldon nie był „estetą”, był to człowiek bardzo ludzki.

KAWIARNIE A SZTUKA

Nowa powieść Alfonsa de Chateaubriant „La réponse du Seigneur” i „Judith” Giraudoux, która mają wystawić w Teatrze Polskim, przywodzi mi na myśl słynną kawiarnię Vachette w Paryżu, gdzie autorzy ich stawiali pierwsze kroki.

Café Vachette nie była to instytucja półoficjalna jak Instytut Propagandy Sztuki, — przepraszam, Ips, — lecz zwykła brudna kawiarenka, na rogu boulev. Mich i rue des Ecoles, taka jakich mnóstwo w Paryżu. Na piętrze, gdzie można było zjeść — po pierwszym — znakomite śniadanie za fr. 3.50, zbierała się burżuazja okoliczna. Nadole królów literackich wszelkich wieków, wszelkich odcieni i wszelkich płci.

Wiek stary Barragan, o którym poszeptowano, że był ostatnim kochankiem pani Hańska, — więc Faguet, brudny na ciełe lecz wykintny w geście i mowie, — więc Goldstein, uczeń Claude Bernarda, znawca sztuki i niestrudzone zbieracz. Darował on swe zbiory Muzeum Narodowemu w Krakowie, myśląc na stare lata osiąść w Polsce, lecz nie mógł się przyzwyczaić — jak mi to z bólem opowiadał — do sposobu podawania sztuki mięsa i wrócił do Paryża, gdzie zmarł podczas wojny lub zaraz po wojnie. Przychodził tam również Henri de Régnier, z monokłem wkręconym w oku i z uprzejmą anegdota na usługi każdego; przychodził dziarski, lecz podatniały Maindron, Tailhade, Casenove, lecz nad wszystkimi panował Moréas.

Wielki artysta, był jeszcze większym causeurem i animatorem niż Franc Fiszler, minus broda, brzuch, głos tubalny i metafizyka, lecz plus geniusz poetycki. Upijał się jedynie na terytorjum obcym, w Closerie des Lilas, nad którem panował „książę poetów” Paul Fort, w garkuchni Laveure, a przede wszystkim w „Halles”. Nie zmieniał nigdy swych przyzwyczajzeń. Wchodząc do Vachette, już od progu krzyczał: „Arsène, un rhum à l'eau” — potem rozglądał się na sali i każdemu ze znajomych ślał to samo stereotypowe powitanie. Energicznemu Grassetowi mówił zawsze z uśmiechem: „tous les vieux sont des c...”, a potem dodawał filiterne, kręcąc monokłem na brudnym wskazującym palcu: „mais les jeunes itou”. Mnie zawsze cytował z powagą wiersze Ronsarda „La Pologne que Mars et l'hiver accompagnent...”

Dokoła niego gromadziła się zawsze kohorta jego wielbieli: elegancki essayista Etienne Rey, poeci Vildrac, Derennes, Canudo, Giraudoux. Wielu mogło przyjeżdżać tylko na krótki czas do Paryża, lecz przez cały czas swego pobytu poprostu nie wychodziło z kawiarni. Najciekawsiej prezentowali się de Chateaubriant, niemiśmiały „hobereau” z Bretonji, Jules Romains, który wówczas belferował w Rennes, Calvocoressi i t. d.

Pozatem nie było poprostu literata czy artysty, któryby od czasu do czasu nie zaglądał do Vachette: André Gide, Ravel, Comtesse de Noailles, Paul Bonnard, Roussel, Florent Schmitt i setki innych.

Ileśmy się tam nagadali, ileśmy wypili apéritifów najdzikszych... Trzeba stwierdzić, że w tej kawiarni nie narodził się żaden geniusz, lecz stworzyła ona pewne milieu, ośrodek, bez którego — kto wie? — może nie urodziłaby się np. „Nouvelle Revue Française”, której założyciele, Ghéon i Gallimard, byli stajami bywałcami Vachette. Tam również przyszło na myśl Bernardowi Grasset stworzenie księgarni wydawniczej, której eklektyzm stanowiłby reakcją na kapliczkowość „Mercure de France”. Otworzył on wydawnictwo za tysiąc franków, które pożyczyl od swego wujka, a pierwsze wydane tam książki były piora bywałców Vachette: jakieś nieprzyswoje nowele Derennes’a, Reya „Myśli o miłości” i szkic J. H. Ringera o opowieściach fantastycznych w romantyzmie francuskim.

Vachette nie była gniazdem orłów, ale była kółką talentów dobrych, drugorzędnych, — a bez takiego podłoża o geniusza trudno.

Dzisiaj na jej miejscu ma swój lokal wielki bank francuski.

Jussu,

Kronika tygodniowa

Radio niemieckie nadawało przez parę godzin pożar jakiejś wsi w Badenie. U nich to łatwo, bo już na parę dni przedtem wiedza co się będzie paliło. Gdy się słucha takiej audycji, mimowoli myśli się o Reichstagu. Doznaje się tak zwanych uczuć mieszanych. Uznania dla organizacji i wstrętu do jej wodzów. Podobnie mieszanych uczuć doznaje się gdy się czyta uchwały zjazdu żydowskiego w Pradze. Kochani Żydzi, stojąc na stanowisku humanitarne, domagają się przyznania praw obywatelskich Żydom niemieckim oraz cofnięcia zakazu rytualnego uboju bydła. Nie wiem kto tu zasługuje na nazwę rytualnego bydła. Wykrzyknienie jednym tchem tych dwu protestów budzi znowu współczucie dla prześladowanych Żydów i wstręt do wodzów żydostwa. Albo humanitaryzm, albo rytualny ubój bydła. Ten ubój, a raczej upór bydła nie doda Żydom sympatii w Europie. Jakaś organizacja hitlerowska wydała wyrok śmierci na Einsteina. Oburzona Europa jest tak wstrząśnięta, że aż zamilkła. A może jednak wywoła to reakcję? Może ten wyrok na Einsteina stanie się końcem teorii względności, stosowanej wobec hitlerizmu, i rozpocznie erę bezwzględności. Nie jestem zwolennikiem interwencji i nikogo nie namawiam, ale jeśli można było walczyć o nos Heleny trojańskiej, to można również walczyć o głowę Einsteina. Metody walki zmieniają się. Dziś wystarczyłoby może prawdziwe zbrojokotowanie Niemiec i paratygodniowa blokada ekonomiczna, aby zmusić naród zamieszkujący środek Europy do nieco przyzwoitszego zachowania się. Jeśli ten wyrok jest prawdą, to Hitler grubo przesadził w swej nienawiści do Żydów. Wojna niemiecko-żydowska trwa już od marca. Cezarze, strzeż się Żydów marca!

Gdy się czyta i słyszy o stosunkach panujących w naszym więziennictwie, doznaje się również uczuć mieszanych. W tej dziedzinie, jak się okazuje, dzieją się rzeczy nietylko najbardziej ponure ale najbardziej groteskowe. Cała prasa podaje szczegóły nadużyć w więzieniu w Złoczowie. Okazało się, że więźniowie w porozumieniu z dozorcami uruchomili tam fabryczkę fałszywych pieniędzy. Specjalnie jednozłotówek i pięciozłotówek. Nie koniec na tem. Założono również polatenną gorzelnię i wypuszczano najczystsze nieżywe więźniów na noc aby kradli w mieście. Podobno złodzieja, który wrócił bez łupu, zamknięto za karę do osobnej celi. To samo spotykało wyłamujących, którzy dał się złapać przy robocie. Dostawał się, naturalnie, do więzienia, a tam wymierzano mu karę za brak zręczności i nie dawano mu ani wódki ani pieniędzy. Własne pieniądze, własny monopol, szkoda jeszcze, że w Złoczowie nie robiono własnych zapalek i własnych losów loteryjnych, bo wtedy więźniowie to nie robiliby się niczem od normalnego współczesnego państwa.

Tak, świat jest pełen sprzeczności, i człowiek prymitywny mógłby dostać obłędu gdyby zaczął myśleć. Cóż dziwnie-

W najbliższym 6-kolumnowym numerze „Wiadomości Literackich” m. in. **Boya-Zeleńskiego**, „Pielgrzymki”, **Thomasa Manna** „O dudaimach” (fragment z powieści „Józef i jego bracia”), **Zofii Nałkowskiej** „Schematy” (fragment z powieści „Granica”), **Ewy Szelburg-Zarembiny** „Myjcie owoce!” (reportaż)

„Wychowawca narodu” przy robocie

W związku z zamieszczoną w nr. 512 „Wiadomości Literackich” notatką redakcji o „pretensjach prof. Lutosławskiego”, pozwolę sobie ze swej strony dodać co następuje.

Z feljetonu p. Wysz. i p. W. Charkiewiczza w „Słowie” wileńskim dowiedziałem się i ja o nieprawdopodobnym wystąpieniu prof. Lutosławskiego na odcywie w Wilnie. Komentując ten odczyt, p. Wysz. przytacza następujący ustęp z przemówienia prof. Lutosławskiego:

„Wprawdzie ogłosiłem w pismach, że odpowiem dzisiaj recenzentom mojej ostatniej książki „Jeden łatwy żywot”, ale ci słuchacze, których to moje ogłoszenie ściągło, będą trochę zawiedzeni... Nie mam zamiaru odpowiadać tym osłom i świniom. Przenigdy”.

Pan Charkiewicz zaś streszcza pretensje (do których zresztą odnosi się krytycznie) prof. Lutosławskiego do mnie w następujący sposób:

„Dr. Boy-Zeleński zaraz po ukazaniu się książki w druku zwrócił się do prof. Lutosławskiego z prośbą o egzemplarz recenzyjny, a gdy otrzymał, nietylko napisał niepoważną recenzję, ale bezozelnie skłamał (znowu określenie profesora), iż autor prosił go o recenzję, i zmyślił ośmieszającą autora rozmowę”.

Na to mogę nadmienić tyle, O ile przytoczona przeze mnie w „Wiadomościach Literackich” (nr. 505) rozmowa ściśle odpowiadała prawdzie, o tyle każde słowo prof. Lutosławskiego mijają się z prawdą w sposób niepojęty. O egzemplarz recenzyjny nie zwracałem się do nikogo, ponieważ ani o pobyście prof. Lutosławskiego w Warszawie ani o jego książce nie wiedziałem i wogóle byłem o sto mil od interesowania się wówczas jego osobą. Książkę „Jeden łatwy żywot” otrzymałem na tydzień czy dwa przed jej pojawieniem się w księgarniach, we własnym moim mieszkaniu, z rąk prof. Lutosławskiego i z jego inicjatywy. Zapowiedział swą swoją wizytę telefonicznie i podawszy jako jej powód chęć porozmawiania ze mną o Przybyszewskim i Lawrence’ie, prof. Lutosławski — z którym przedtem nigdy nie pozostawałem nawet w najdalszych stosunkach — był u mnie w ciągu

go, że ludzie myśleć przestają. Dowodem takiej dość daleko posuniętej beżmyślności jest akcja „Gazety Warszawskiej”, „demaskująca” Żydów w literaturze polskiej. Do czego to służy? Jeśli ma okazać zażydzenie piśmiennictwa polskiego, efekt jest chybyony. Okazuje się coś wręcz przeciwnego. Żydzi odgrywają bardzo skromną rolę. Wyliczono kilkadziesiąciu dziennikarzy lub literatów nie produkujących i zaledwie parę poważnych nazwisk prawdziwych pisarzy i poetów. Procentowo ilość ta jest bardzo skromna. Tak samo zażydzenie nauki polskiej okazuje się fikcją. Jedynie w poezji pisarze pochodzenia żydowskiego odgrywają znaczną rolę, i to nie ilościowo ale jakościowo. Ale lista, opublikowana przez „Gazetę Warszawską”, nie jest kompletna. Opuuszczono np. nazwisko Zuzanny Rabskiej. Cemu zrobiono ten wyjątek? Czyżby panowie z endecji nie wiedzieli? Nie. To jest wykluczone. Wiedzą, ale przebaczą. Ta amnestia oparta jest widac na przeświadczeniu, że przy ewentualnych rugach z literatury polskiej szkoda utracić tak wielki talent poetycki. Bez Leśmiana, Tuwima, Wittlina, poezja da sobie radę. Ale bez Zuzanny Rabskiej — nigdy! W liście pisarzy opuszczono również literatów o pochodzeniu mieszanem. Żal nam, oczywiście, nazwiska Piaseckiego. Poczieszamy się, że to są przecież początki. Z czasem dojdziemy do obowiązujących dziś w Niemczech trzech pokoleń wstecz czyli potrójnego wstecznicztwa. Kryterja wartości i znaczenia pracy czy twórczości jednostki odpadają. Spoza szumnych słów demagogii, wyłazi ordynarna walka konkurencyjna.

Trudno jest napisać dobry wiersz ale łatwo jest krzyknąć: „to jest Żyd”, „to jest faszysta” czy „to jest marxista”. Niestety, w sprawach nauki przybyło u nas nowe kryterium wartości. Przekonania polityczne. Nie jest to, rzecz prosta, sprawa bezsporna. Powinno się może usuwać z katedr ludzi, którzy się ferment i uczą nienawiści. Ale czy leży w interesie państwa usuwanie wybitnego uczonego, który dobrze wyklada a w domu modli się do Romana Dmowskiego? To niebezpieczna droga, bo można nią niepostrzeżenie dojść do wyznaczenia nagrody za głowę wroga państwowości, do wyroku śmierci na wielkiego zdradę — Einsteina. Kto tu jest zdradą? Einstein nie zdradził ludzkości i cywilizacji, ale jest jej chlubą. A może przecież interes państwa wymaga śmierci Einsteina, i dla Hitlera byłoby lepiej gdyby wielki uczone nagle zmarł na jakąś tajemniczą chorobę? Wszystko dla państwa. Zgoda, ale nie wtedy gdy państwo samo staje się wielkim zdradą wobec ludzkości. Nam to, na szczęście, nie grozi, i dlatego obiecuję, że nie będę się w tym zajął.

sumy dorocznej państwowej nagrody literackiej. Oczywiście, jeśli tę nagrodę dostanę.

Antoni Słonimski.



Chat Noir
to
najwspanialsza

Woda Kolońska „Lady”

Dzięki wyjątkowo szczęśliwej kompozycji, zdobyła sobie w krótkim czasie bardzo licznych zwolenników.

Nieźrównany zapach „Chat Noir” podnosi wdzięk kobiecy.

Książki, ryciny, rękopisy

Licytacja bibliofilska, to jakby wityna wystawowa pawilonu japońskiej Josziwary. Książka rzadka czy cenna pokazuje się tam najokazalej, wszystkie jej zalety podkreślone są bardzo silnie, to też w rezultacie trzeba za to wszystko odpowiednio zapłacić. I konkurencja amatorów jest liczna. Więc ostatecznie zdobywa pożądaną obiekt ten kto ma więcej pieniędzy.

Ale nietylko tam zdobyć można druki czy rękopisy, które uciechają prawdziwego bibliofila. Cała gama subtelnych wzruszeń i radości czeka go również gdzieindziej. Tylko musi iść i szukać. I wtedy nie trzeba dużo pieniędzy. Znam kogoś, kto w zapadłym kacie Lubelszczyzny nabył wprost za grosze pleśnią pokrytą „litografię”, które po bliższym zbadaniu okazały się oryginalnymi... rysunkami tuszem młodego Orłowskiego (1797). Czyż to nie rozkosz takie odkrycie i równocześnie pewność, że się ratuje dzieło sztuki, którego nie umieli uszanować niekulturalni potomkowie kulturalnych przodków? Albo u starej kobiety, dla której nic nie przedstawia wartości, o ile nie jest obrazkiem świętym czy nowenną, znaleźć autografy królewskie? I tak prawdę mówiąc — większa jest zasługa bibliofila, gdy z ręki profana wykupi obiekty tego rodzaju i zapewni im dalszą egzystencję, niż wtedy gdy przeliczytuje kolekcjonera, podobnego do siebie.

Warszawa nie posiada właściwie antykwarijuszów, w których można by wynajdywać rzeczy nadzwyczajne. Nieliczni handlarze książek, którzy rozkładają na ogrodzeniach ogrodowych swe składki, nie mają nic ciekawego. Wózki uliczne wy-

przedają zlicytowane księgi — czy nakłady „nieidących” (jakże mają iść, gdy się ich nie reklamuje?) książek. A jednak czasem niespodziewanie dziwne na tych wózkach znajdują się książki. Ktoś nabył w takich okolicznościach zapomnianą już dziś „Rewolucję w Niemczech” Tuwima z ilustracjami Szyka; ja sam za 30 gr. wyłowilem klasycznie spokojną „Harmonję” Słonimskiego, wydaną jeszcze przez „Pro Arte”, w dwustu pięciu egzemplarzach, z winjetą okładową rysunkową autora. Księgarze już dawno zapomnieli o tych wydawnictwach.

Niedość na tem. Oto np. „Tetno” Jana Brzokowskiego, a na przedtytułowej karcie własnoręczna dedykacja: „Panu Henrykowi Życzynskiemu, autorowi artykułu „O upadku poezji”, z wysokim poważaniem”... Oto „Śmierć białego słonia” Aleksandra Janty-Polczyńskiego i znowu dedykacja: „Panu Redaktorowi Zygmunta Wasilewskiemu z wyrazami najgłębszego szacunku, składa tę książkę...” To dwie książki, nabyte (przy świadku) po 30 gr. na ulicznym wózku żydowskim w okolicach Żelaznej Bramy. Jak się tam znalazły? Redaktor „Myśli Narodowej” widając nietylko nie czyta dzienników swojej orientacji (sam się przynajmniej do tego na łamach własnego pisma), ale jeszcze Co tu zresztą gadać? Opowiadał mi jeden z moich przyjaciół, że nabył na podobnym wózku antyżydowską książkę Andrzeja Niemojewskiego z dedykacją dla członka redakcji... „Gazety Warszawskiej”. Czyż to nie zastanawiające?

jmch.

Najpiękniejszy upominek — okazja!

Dzieła zbiorowe wielkiego powieściopisarza francuskiego

STENDHALA

w przekładzie i z przedmowami **Boya-Zeleńskiego**

w 10 tomach, w prenumeracie

Duży format, wytworne wydanie, na bezdrzewnym papierze piórkowym

5 seryj po 2 tomy — cena za 2 tomy nieopr. zł. 9.50
za 2 tomy w opr. płóc. „ 12.80

2 tomy co miesiąc. Wplacającym odrazu całość — 10% rabatu

Serja I. Czerwone i czarne, 2 tomy

Serja II. 1) Kroniki włoskie — 2) Lamiel

Serja III. 1) Życie Henryka Brulard — 2) Pamiętnik egotysty

Serja IV. O miłości, 2 tomy

Serja V. Pustelnia parmeńska, 2 tomy

(Każdy utwór poprzedzony wstępem tłumacza)

Wpłaty na konto P. K. O. nr. 22.570, „Biblioteka **Boya**”, Warszawa, Smolna 11, tel. 230-31

Ewentualne polecenie lub zaliczenie na koszt odbiorcy

Z DZIEDZINY NAUKI I TECHNIKI
BIBLIOTEKA POPULARNO-NAUKOWA
Tom 3 **HENDRIK VAN LOON** **Nowość**

CZŁOWIEK USTOKROTNIONY

dzieje cywilizacji na wesolo
przełożył Paweł Hulka-Laskowski
str. VIII, 250 z 181 rys. autora. 1933. W opr. pl. 11.60

R o z d z i a ł y: O istocie, która nauczyła się wynajdywać — Od własnej drapaczki chmur — Pieć palców ręki — Od stopy do aeroplanu — Ty postaci ust — Wsłubiński nos — Ucho — Oko

Naktadem „MATHESIS POLSKIEJ”, War
Małżałkowska 81, tel. 940-14, konto w P.K.O. 12 65

Boy-Zeleński.

ŚWIATŁO NA EKRAŃ

DODATEK „WIADOMOŚCI LITERACKICH”, POŚWIĘCONY SPRAWOM FILMOWYM

Zagadnienia psychologiczne w filmie

Różnie można ująć ten temat. A więc albo film psychologiczny, co jakby równoważnik terminologiczny „opowieści psychologicznej”, albo stosunek dwu zakresów, — filmu i t. zw. zagadnień psychologicznych, — mówiąc wulgarnym językiem filmu, pytanie, czy zagadnienia psychologiczne są fotogeniczne, o ile i jak? Można też nadać sprawie charakter bardziej praktyczny, podając próbę systemu znaków filmowych odpowiadających zagadnieniom psychologicznym, czy też szukać nowych znaków. I t. p. W ten sposób powstaje łańcuch od kwestii najogólniejszej, zasadniczej, do czysto formalnych. Poszczególne jego ognia są łączone coraz to inaczej, ustawicznie się je przekuwa w dyskusjach, spawa na gorąco, a kiedyś indziej sklepije na zimno — wogóle sprawa tych ogniów jest mocno zaogniona. A łańcucha jak niema tak niema. Mimo to film czuje się skuty, nieledwie już „w powiciu”.

Psychologia tradycyjna nie była dobrą matką dla nowonarodzonego muziatka. Bebuś nr. 10 zdany został na litościwe „krople mleka”, miał złe sny i złą przemianę materii, ssał palec, z czego poszło dużo rzeczy wysyszanych z palca, zalewał się glicerynowymi łzami, bawił się nitrogliceryną, Mazgał. Gaworzył. Potem zaczął psuć zabawki i zabawa tym co go podziwiał. Biegał beztrokosz i bezmyślnie. Chwytał motyle. Czasami trafił mu się „błękitny motyl”. Miał zawsze ładne bony i przystojnych guwernerów, którzy dbali o swe kieszenie a nie o pupila, tak dalece że oni jeżdżili jachtami podczas gdy on zebrał w tینگlach i budach jarmarcznych. Zbuntował się i uciekł z domu. W wieku Robinsona jeździł do dzikich krajów i na południowe morza. Zwiędził wszystkie obozy polityczne, nie wyłączając obozów koncentracyjnych. Potem spowaśniał. Przyszył czasy długich spodni i długich zamyślań się nad sobą i światem. Stał na nowo przed psychologią.

Zagadnienia psychologiczne na terenie filmu ograniczają się siłą rzeczy do ekspresji, do wyrazu, do cielesnej strony. Nowe kierunki w psychologii przesunęły się wybitnie właśnie w stronę ciała. Psychologia stała się niejako bardziej sensytywna, posługuje się symbolami zmysłowymi. Bez Freuda niemożliwa byłaby cała psychologia, obrazowa zdobycz Joyce'a. Niedarmą ogromną rolę grają w metodzie psychoanalitycznej legendy i mity, owe stenogramy psychiki indywidualnej i zbiorowej. Huijsch w rozprawie o Hamsunie doprowadził symbolizm psychoanalityczny do absurdu. Skaleczony palec chłopaka ma swoją tajną wymowę! Powstaje nowa dyscyplina, charakterologia, która przedstawia nowy etap wywołania ciała. „Körperbau und Charakter”! Sny frenologów, fizjognomików i grafologów otrzymały naukowe, kliniczne podstawy. Czaszka, wyraz twarzy, czy straciły monopol reprezentowania człowieka, całe ciało przyszło do głosu, napaścił zatem rodzaj decentralizacji i samorządu w dziedzinie ludzkich członków. Uprzywilejowane stanowisko zajęły skołe części oraz objawy drugorzędne, drobne. Ciało nasze w ekspresji stanów uczuciowych pokusiło się o powodzenie o chleb powszedni metafory: pars pro toto.

Wszędzie widzimy rozrost i pomnażanie się terenów psychologicznych. Przeszliśmy od schematu do różniczkowego rachunku psychologicznego (psychologia różniczkowa), od abstrakcji — do konkretności (typologia). Równoległe nastąpiło rozszerzenie innego rodzaju. Wyjście poza ciasną lupinę, w jakiej siedziała jednostka. Przerzucono ciężar z jednostki na ogół, masę, otrzymując nowe ciekawe i bogate ziemie do kolonizacji, gdzie nashał buduje i zagospodarza jej socjologia. Tych parę uwag teoretycznych wystarcza do uchwylenia linii, gdzie film może się zetknąć z nowszymi prądami psychologicznymi.

U nas nie uświadomiono sobie tego należycie. Dzieło Kretschmera („Budowa ciała a charakter”) ma za motto cytāt z szekspirowskiego „Juliusza Cezara”. Dyktatora rzymskiego gryzie myśl, że przywódca spiskowców nie śpi dobrze i nie tyje, czyli że nie jest ciężkim piknikiem. Trudno było wybrać lepiej! W tomiku poezji Feldhorna („W ogrodzie brata Chryzostoma”) mottem jest wykrzes matematyczno-geometryczny, jakaś funkcja, o ile sobie przypominam. Oto dwa motto z dwu książek. Tam było dzieło naukowe, tu — literatura piękna!

J. N. Miller („Dyktatura wzroku” w nr. 488 „Wiadomości Literackich”) mylnie przypisuje wyłącznie wpływowi filmu fakt, że literatura zwróciła się do zewnętrzności, — do konkretyzacji przeżyć. To nie film był przyczyną, przyczyną jest prąd rwały poprzec wszystkie dziedziny ducha. Podczas rozmowy o typologii zwrócił mi uwagę Stefan Kołaczowski, jakie skarby dla typologii naukowej znajdują się w dziełach Conrada. Pewne jest jedno, że Conrad nie studiował typologów i że oni nie wyszli z beletrystyki. Miller na poparcie tezy wybrał twórczość Kadena-Bandrowskiego. To błąd metodologiczny. Kaden jest specjalnie organizacją zewnętrzną, zmysłową. Filmowcem będzie Tuwim, aczkolwiek odznacza się mniejszym sensualizmem.

*) I nagroda (ex aequo) na konkursie „Wiadomości Literackich”.

Wspomniałem już o przejściu od jednostki do masy. Było ono ułatwione w dziedzinie ekspresji przez fakt zrezygnowania z tak indywidualnych lecz oklepnych środków wyrazu, jak np. twarz, na korzyść drobnych, uchodzących dotąd uwagi szczegółów, aby otrzymać zarys całości. Ważniejsza i ciekawsza stała się sylwetka psychologiczna, cien, rzut taki czy inny na taką czy inną płaszczyznę, niż — portret. Te nowe ideały ekspresji przy traktowaniu indywiduów odpowiadają metodzie traktowania zbiorowiska, ogółu, gdzie cechy indywidualne ulegają rozpicieniu i zamazaniu na korzyść cech nowych, „zbiorowiskowych”. Przejście, oczywiście, ułatwione. Tą przełączną nastąpiła dezercja z obozu indywiduum do obozu gromady. W tym punkcie estetyka, zajmująca się artystycznym sformułowaniem życia zbiorowiska, spotyka się z dzisiejszym ruchem socjalistycznym i... zostaje w tyle.

Nic dziwnego. Wypracowanie nowych form ekspresyjnych dokonywa się zwykle w pewien czas po ukazaniu się, a co ważniejsze, po **zauważeniu** nowej treści. Trzeba zmuszonych doświadczeń, a do tych trzeba mieć możliwie sztucznie otrzymane preparat socjologiczny. Czyli trzeba komórkę zbiorowiskową nauczyć zbiorowiskowo wyrażać się w sztuce, tak jak ona samorzutnie wyraża zbiorowiskowo w swych procesach życiowych. O tem w teatrze marzył Brecht, a przedtem do tego dążył Wagner. Komórka, o której mowa, był u nich zespół artystów.

Ogół, zbiorowisko, w stosunku do jednostki przybiera postać „odczłowieczenia”, żywiołu, wytwarza nowe kształty i w ekspresji może znaleźć ujęcie, leżące już w państwie psychologii świata poza-ludzkiego. W filmie mamy do czynienia z psychologią, albo lepiej z psychologizowaniem świata zewnętrznego. Można powiedzieć, że na ekranie występują dwie kategorie: biorących gażę i grających honorowo. Jakis ostry brzeg łacina, umiejętnie schwycony przez operatora, potrafi przenikliwiej rozpruć ciszę niż otwarte usta artystki. W rezultacie jednak liść nigdy nie zdobędzie dla siebie auta, willi i książeczki czekowej.

Najczęstsze odmiany tej psychologii są następujące. 1) Psychologia człowieka pierwotnego, jakby mistyka teoriiopoznawczej. U nas w poezji udalne próby dał z nowszych Lesmian, Tuwim i Żegadłowicz. 2) Pokrewna jej jest psychologia patologiczna. Doznania otrzymane pod wpływem narkotyków. Słyszałem o doświadczeniach prof. Szumana nad twórczością plastyczną. Postrzeżenia malarzy przy działaniu pewnych narkotyków odznaczały się nadzwyczajną płynnością i rozlewnością form. Baśnie, pewne kategorie snów też tu należą. 3) Psychologia romantyczna. 4) Psychologia konwencjonalna (np. miłość chodzi w parze z wiosną, lepsza zabawa wymaga sztafetu paru flaszek od szampana i t. p.). Typ najczystszy, bo najbardziej bezmyślny. 5) Psychologia „świadomej kompozycji”. Ideal twórców.

Wiele słyszało się o tem, że efekty filmowe są inne niż literackie, teatralne i t. p. W razie podobieństw mówi się o wzajemnym wpływie. Tymczasem podobieństwa leżą na szerszej płaszczyźnie, czyli mówiąc przykładowo, typ filmowy można spotkać w literaturze, literacki w filmie, teatralny w literaturze i t. d., po prostu na zasadzie różnych struktur psychicznych twórców. Ważne to, bo świadczą o zagadnieniu psychologicznym mogą być traktowane w filmie zupełnie samodzielnie i oryginalnie. Weźmy Kadena „W cieniu zapomnianej olszyny”. Młodzi ludzie przeżywają nastroje miłosne, a w tym samym momencie na parapecie okna leży jakiś sznurek. Sznurek wiąże się, supla w jedno nierozwalne przeziście z pieszczotą. Sznurek ma nadać ton tej scenie, nastroj, głębię. Ponieważ ostatecznie wszystko może być, więc możliwe, że tak rzeczywiście było. Kaden jest w porządku. W scenariuszu w podobnej okolicy sznurek nie przyda się na nic, chyba żeby powiesić na nim autora scenariusza za kiepskie koncepty, mające służyć do wmówienia w widza tajemnic psychicznych. Sienkiewiczowskie określenie zadania przez zwrot: „usta wygięły się w podkówkę” nie wystarczyłoby. W filmie trzeba było zdecydować, czy to ma być skrzywienie płacizliwe, czy śmiech, gdyż od tego zależał będzie postawienie „podkówki” półkolem dogory czy nadół. Natomiast nieprzejmnie duże dźwięki Pochronia mogą być cudownym skrótem charakterystyki filmowej. Oczywiście, na podstawie tych przykładów nie chcę wyrokować o typie, jaki reprezentuje Kaden, Sienkiewicz i Żeromski. Za mało na to przytoczyłem materiału.

„Psychologia pozaludzka” w filmie ma większe możliwości rozwojowe i większe bogactwa do wydobycia niż psychologia ludzka. Wydała oddzielne gatunki filmu: groteskę rysunkową, film awangardy, eksperymentalny, fotomontaż, fotogram. Otwiera coraz to nowe możliwości formalne. Ma w ręku klucz do rozwiązania problemu, jak ujmować psychologię zbiorowości. Mimo to jest wciąż nieosiągalna, choć nie bronią jej śniegi i temperatura Mount Everest. Jest to forma, w jakiej film cagle jeszcze płaci odszkodowania literaturze, teatrowi i malarstwu za to, że bez formalnego wypowiedzenia wojny mocno je poszczerbił. Widziałem w Wiedniu efekt filmowy osiągnięty udatą kompozycją, pomysłowym upychaniem w filmie dyalektów. Z ciekawości znalazłem się na „Bühnenwunder” odczytanie na obronie Wiednia, ujętym pod kątem widzenia faszystów austriackich contra wiedeński socjalizm. W toku odczytu ujrzeliśmy półkieszy namiotów tureckich zagarniających miasto, jak sierp — kepe zboża. Potem na ekranie ukazał się plan dzisiejszego Wiednia z wyznaczonym półkolem, jakim rozsiadły się twierdząc tamtejszy socjalizm: domy mieszkalne, budowane przez socjalistyczną gminę. Plan zagrał swą rolę świetnie.

Rzecz prosta, wszystko to zależy od umiejętności stawiania zagadnień, czyli „psychologia” ta zależy najciszej od psychologii indywidualnej. Powracamy do punktu, skądśmy wyszli. W ten sposób obróbką się zamyka. Obróbką jest, może więc kiedyś nastąpi trwały związek małżeński tych dziedzin?

Wacław Kubacki.

Człowiek współczesny w filmie

Film jest dokumentem. Kiedyś człowiek przyszłości sięgnie do wielkiego archiwum, gdzie zakłeta w kształt i dźwięk, spoczywać będzie przeszłość świata. Kiedyś zapraśnie odczytać z wielokilometrycznych taśm dzieje i losy człowieka z „epoki wielkiego zamętu”. W jaki sposób przedstawi się wtedy jego oczom ta istota przedhistoryczna, jak wyglądać będzie na podstawie najwiarogodniejszego świadectwa współczesności aktor wielkich zdarzeń, uczestnik walk o przyszłość, poszukiwacz nowych praw człowieka?

Postać ta zarysuje się bez wątpienia na lekkożytych i dekoracyjnie odpowiadających epoce zdobyczy technicznych. Reżyserem i autorem scenariuszy wystarczą inteligencji, aby zrozumieć i wyzyskać wizualne i dźwiękowe wartości maszyn. Technika filmu potrafi ująć z najciekawszej strony i najwłaściwiej oświetlić prostotę, celowość i precyzję łodzi podwodnej czy sterowca. Ale w jakim celu? — Przeważnie dlatego, aby dać niezwykły i sensoryczny to scenie, w której osobnik o niewątpliwie czarnym charakterze usiłuje zgwałcić piękne i niewinne dziewczę. Chcąc mówić o człowieku w filmie, trzeba przedewszystkiem odrzucić 90% filmów, gdzie na wspaniałem tle, godnym geniuszu ludzkiego, pokutują maki, przeniesione wprost z awanturnych romansów brukowych zeszłego stulecia. Aby ożywić te woskowe figury z panoptikum, zadziwić świat losami wszystkich hrabin, uwodzicieli, niewinnych dziewcząt, szlachetnych młodzianów, czarnych charakterów, — puszcza się w ruch olbrzymi aparat produkcji, kosztowne wysiłki mózgowych legionów reżyserów, operatorów, muzyków, aktorów, malarzy. Martwość straszaków, zwanych bohaterami filmu, podkreśla znakomita technika świetlna, która o sto mil wyprzedziła już teatr, — ich erotyczne cierpienia podane są w świętych skrótach reżyserkich, ujęte w rytm muzyczny. Zgławianizowane kukły zaludniają, a raczej zatrupiają tak wielką połąkę twórczości filmowej, że próby ujęcia nowego człowieka i jego psychologii w świetle zagadnień epoki współczesnej można uważać tylko za wysiłki sporadyczne.

Jeśli pojawia się film t. zw. „psychologiczny”, t. j. usiłujący w mniej schematyczny sposób odtworzyć charakter i los człowieka, — grozi mu nowe niebezpieczeństwo: staje się on najczęściej polem popisu wielkiego aktora filmowego, pretekstem do uwydawnienia jego możliwości charakterystycznych czy skali ekspresji. Znaczenie człowieka może być określone jedynie przez nasświetlenie jest stosunku do świata; sprawdzianem jego sił czy tragizmu może być tylko stanowisko, jakie zajmuje wobec otaczających go zjawisk. Film jest znakomitą i jedyną w sztuce terenem, który obejmuje cały kompleks zjawisk — poza postacią człowieka. Który solista zgodzi się na poddanie innym elementom, choćby na równość z zespołem ludzi, spraw i rzeczy, leżących poza nim? Wirtuoz dąży do tego, aby być środkiem świata. Gdzież w tym tłumie potężnych indywidualności znaleźć przeciętnego człowieka?

*) I nagroda (ex aequo) na konkursie „Wiadomości Literackich”.

na zwykłego człowieka, który w ciągu swego dnia powszedniego boryka się z ogromną pozasubiektywną dziedzina?

Takie całkowicie odrębne stanowisko zajmuje w filmie dobrze znana światu figurka małego człowieka w wykrzywionych butach. Mamy tu do czynienia z zaskakującym zjawiskiem: film Chaplina odrzuca czy nie uważa za godne uwagi wszystkie formalne zdobycze filmu ostatniej doby, wszelkie elementy świetlne, malarskie i dźwiękowe. Kunstz operatora, malarza, nie mówiąc już o muzyku, — jest tu sprawą drugorzędą, trzeciorzędą, nieistotną. Ekspresja aktorska wyeliminowana jest z nieruchomej maski, a ekspresja ruchowa znalazła wyraz w drewnianych ruchach automatów. Stanowisko swego człowieka we wszechświecie określa Chaplin w sposób szczególny: za pomocą kilku najprostszych rekwiizytów. Buty są świadectwem nędzy i wymownym streszczeniem dziejów człowieka; psychiczne zaś jest nastawienie względem własnego losu wyraża melonik i laseczka. Mimo wszelkich przeciwności losu, człowiek Chaplina nie rezygnuje, nie zrzeka się swych urojonych czy rzeczywistych przywilejów. Melonik i laseczka — rekwiizyty przeciętnego eleganta — stają się tu symbolem upartej wyższości wobec niemniej upartego złego losu. Dzieje człowieka w meloniku, to walka z całym światem: walka z materją, z prawami fizycznymi, z brutalnością ludzi i pieniądza, z niebezpieczeństwem, grożącym na każdym kroku wątemu życiu, z komizmem sytuacji, zagrażającym nieustannie godności małego człowieka. Tysiącokrotnie zrzucany brutalną pięścią melonik powraca zawsze na upartą głowę, laseczka — zdradziecka i zwodnicza podpora — wykonująca niedbale i bezcelowo-eleganckie ruchy w najbardziej upokarzających sytuacjach. Według mnie, znana formuła, że człowiek Chaplina jest to symbol małości zagubionej we wszechświecie, nie odpowiada zamierzeniom twórcy „Gorączki złota”. Mimo że ludzie, prawa fizyczne i zdarzenia sprzyjają się przeciw małemu człowiekowi — odnosi on zawsze pewien rodzaj zwycięstwa. Z najbardziej upokarzających godność ludzką przygód, z najbardziej brutalnego zetknięcia z życiem — wynosi niepokonane serce człowieka. Ta atmosfera melonika osiąga rzeczywiste zwycięstwo — podbija świat. Nie postacie, obliczone na popularność, nie szlachetni bohaterowie i cnotliwe bohaterki, — ale ten daleki od bohaterstwa, choćby jak zając i pelen nieuzasadnionych pretensyj nędzarz jest najbardziej znaną postacią filmu. Dlaczego? Bo twórca zrzekł się tu indywidualności na korzyść przeciętności, zrezygnował z bohaterstwa, aby odtworzyć lęki, nędzę i biedne triumfy zwykłego człowieka. Człowiek w meloniku, to wyraził naszych własnych nieskończonych walk i upadków w zapasach ze światem. Ecce homo.

Zapasy te odbywały się od początku świata, trudno je nazwać rzeczą nową czy współczesną. We włodzede z laseczką poznali brata bohaterowie szelmowskich romansów, wszelkie łaziki i wagany. Stara jak świat walka z wiatrakami Don Kichota jest w założeniu swem tem samem co walki Chaplina. Postać czło-

wieczka w wykrzywionych butach nie jest, ściśle mówiąc, dokumentem epoki — jest projekcją w wieczność.

Dokument epoki? Wyraz jej najistotniejszych zagadnień! Tu chyba odstąpić trzeba od poszukiwań w kierunku indywidualności. Zagadnienia te są tak ściśle związane z ideą zbiorowości, że zbliża się do nich raczej film, gdzie bohaterem jest tłum. Oczywiście, nie makartowski tłum Cecil de Mille'a, zgрупowany w najbardziej malowniczym oświetleniu, ale tłum dynamiczny, ujęty w największym napięciu energii. Nasuwają się tu przedewszystkiem filmy sowieckie, z których każdy jest bezwzględnie dokumentem intensywnego napięcia kierunkowego epoki. Filmy te jednak zbyt są posłuszne zwanym tendencji, są zbyt wyraźnie ilustracją teoretycznych rozważań, aby stanowić harmonijną kompozycję, której rozwiązanie dałoby poznać pocucie niezwykłej, silnej prawdy. Człowiek tych filmów — mimo zewnętrznej, naturalistycznej prawdziwości — zbyt jest poddany rzeczywistości planowanej a nie istniejącej, aby dawać wrażenie człowieka żywego. Charakter jego, zależnie od przynależności politycznej czy społecznej, przynębia beznadziejną czernią albo oślepia przejakrawioną białością. Losami jego kieruje nie konieczność wewnętrzna czy dziejowa, ale świadoma wola propagandy.

Najciekawsze podejście do zagadnień współczesnych znalazł niewątpliwie Clair w filmie „Niech żyje wolność”. Jest to wspaniała gorda rozciecia jednym zamachem węzła gordyjskiego nierozwikłanych zagadnień, które tamują dziś twórczość ludzkości: indywidualność? zbiorowość? kult jednostki? społeczeństwo? — i jeszcze, forma? treść? szlachetna tendencja? czy czysta kompozycja formalna? I rzecz dziwna, jedyny film, który usiłuje rozstrzygnąć te wielkie pytania, idzie wyraźnie przeciw potężnemu prądowi czasu, przeciw idei kolektywizmu, przeciw mroźce zbiorowej pracy. Nieistota indywidualność nie chce za nic stać się częścią maszyn społecznej, wybiera osobistą, prywatną wolność, choćby okupiona biedą i poniewierką. Sympatie twórcy są wyraźnie po stronie zbuntowanej jednostki, która upojona wolnością i słońcem, ma odważyć przeciwstawienia się zmeczaniowanemu społeczeństwu. Mimo tych bardzo subiektywnych poglądów, film „Niech żyje wolność” ma podwójną wartość: jest dokumentem epoki i wielkim tryumfem artysty. Jeśli w widzu budzą się nawet sprzeczny przeciw zbyt beceremonialnemu załatwieniu się z wielkim zagadnieniem chwili — musi podziwiać rozmach, z jakim Clair miał tu rozwiązać inne, niepokojące dziś twórców pytanie: forma czy treść? Clair znalazł wyrażenie swej idei, formę, nie tylko naciągającą zespoloną z treścią, ale nadającą aktualnej treści wieczne walory dzieła sztuki. Forma — odrzucała najczęściej poza nawias problemów nowoczesnych jako niewspółmierne z ważnością chwili estetyzowanie — okazała się w filmie Claira najwłaściwszym podejściem, zyskała całkowite prawa obywatelskie i wykażała możliwości wspaniałego rozwoju formalnego ujęcia zagadnień społecznych.

Dla przyszłych badaczy epoki wielkiego zamętu będzie znamienym faktem, że krocząc ku sobie z dwóch przeciwnych krańców świata filmowego wieczny wędrownik Chaplina w wykrzywionych butach i dwaj indywidualiści Claira, wyłamujący się spod nakazów i rezygnujący z przywilejów standardyzowanego raju ludzkiego, spotykają się niewątpliwie na wspólnej platformie — na gościńcu, który prowadzi w wolność.

Takie są w ogromnym skrócie najważniejsze rezultaty poszukiwania człowieka w filmie. Jakaż może być ich droga w przyszłość?

Przedewszystkiem nie przez kuchnię. Człowiek dzisiejszy nie powinien wkraczać do filmu przez kuchnię. Nie może być ani wytworem barbarzyńskich autorów scenariuszy, obliczających człowieczeństwo na dolary, ani polem popisu dla wielkich kabotynów. Jeśli dawniej, na początku filmu, było, niestety, Słowo — to w przyszłości na początku będzie wizja plastyczna człowieka.

Film ma możliwości nieograniczone, możliwości niewyżyłkane — film znajduje się dopiero na progu twórczości. Tylko film może pokazać plastycznie jak człowiek małość rośnie w potęgę, jak człowiek zwycięża w walce z przyrodą, jak ujarzma żywioły. Film jest krainą kontrastów: może dać przekroje przez wszystkie warstwy społeczne, ukazując w błyskawicznych skrótach całą skalę ludzkich możliwości. Film może być najdalej idącym skrótem rzeczywistości, nie znając granic czasu i przestrzeni — dalecegożby nie mógł odtworzyć dziejów przemiany człowieka, wszystkich szczytowych momentów jego historii? I wreszcie film posiada najwspanialsze warunki do stworzenia wielkiej poezji pracy, do oddania jej rytmu, jej uroku i niebezpieczeństwa.

Zresztą trudno jest przyszłość ująć w teorię, nie zbacając w dziedzinie ujęć. Może okazać się znowu, że najprawdziwszym i najistotniejszym jej objawem jest człowiek, który wyłamawszy się spod wszelkich praw i nakazów, ku na wolnym gościńcu: „Niech żyje wolność”.

Leonia Jabłonkówna.

Janina M.

PO KONKURSIE FILMOWYM*)

Na apel „Wiadomości Literackich”: „Szukamy ludzi piszących o filmie” — zgłosiło się 51 osób.

Na 51 nadesłanych prac, 22 dotyczyły pierwszego tematu: „Artystyczne i organizacyjne możliwości filmu polskiego”; temat drugi — analizę jednego z wybitnych filmów sezonu — podjęło 17 osób; reszta zaś, t. j. 12 osób, opracowała temat trzeci: „Zagadnienia psychologiczne w filmie”.

Jeżeli chodzi o ten właśnie trzeci temat — trudno tu o wynuszenie jakichś wniosków jednolitych, ze względu na rozmiary w tym wypadku indywidualizm poszczególnych odpowiedzi, wielopłaszczyznowość ujęć, rozbieżność linii rozważań. Zagadnienia psychologiczne w filmie, to zarówno sprawa przedstawienia problemów psychologicznych przez dany utwór ekranowy jak sprawa wywołania odpowiednich momentów psychologicznych na widowni, jak wreszcie kwestia psychologii aktora, reżysera czy operatora. Uczestnicy konkursu zajmują się przeważnie pierwszą z wymienionych możliwości, t. j. chemię co możnaby nazwać „filmowaniem psychologii”. Tutaj dałoby się rozróżnić dwa zasadnicze rodzaje podejścia. Większość autorów sprowadziła zagadnienie „psychologii w filmie” do zagadnienia stanów psychicznych głównych działających bohaterów danego filmu.

Druga — mniej liczna — grupa wyszła z założenia, że na terenie filmu właśnie procesy psychologiczne nie muszą wiązać się wyłącznie z ludźmi, nie muszą być tylko odbiciem t. zw. „stanów duszy”, lecz mogą znajdować swój wyraz także w świecie materji istniejącej poza człowiekiem, w odpowiednio nasświetlonych kompleksach przedmiotów, lub też można dać ich równoważnik w samym do-

rze zdjęć, w kolorystyce i rytmie obrazów, w konstrukcji montażu.

Na 17 recenzji filmowych (temat drugi) — 5 dotyczyło filmów polskich. Omówiono filmy „Jego Eksceleńcja Subjekt”, „Każdemu wolno kochać”, „Pałac na kółkach” oraz „Pod Twoją Obronę” (dwa razy). Z wyjątkiem filmu „Każdemu wolno kochać”, wszystkie otrzymały opinie raczej negatywne.

Z filmów zagranicznych, „14 lipca” Claira omówiono 4 razy. Z tego tylko jedna analiza miała charakter ujemny trzy inne natomiast wypadły entuzjastycznie. „Ludzi w hotelu” omówiły dwie osoby (jedna z entuzjazmem, druga — z przyszaną). Z innych filmów amerykańskich uwzględniono w recenzjach „Noce sądy”, „Pozwólcie nam żyć” oraz „Człowieka małpe”. Przy omawianiu wszystkich trzech wysunęto momenty społeczne.

Wreszcie zanalizowano dwa filmy sowieckie: „Wiosna na Altaju” oraz „Bezdomnych” (dwukrotnie). Obie opinie o tych filmach wypadły niezwykle dodatnio.

Sprawą filmu polskiego zajęła się największa ilość osób — poza bowiem 22 pracami, dotyczącymi specjalnie tematu pierwszego, w wielu artykułach, omawiających tematy drugi i trzeci, znalazły się również liczne aluzje do tej kwestii — przeważnie dość ostre w charakterze.

Uderza przedewszystkiem ogólne niezadowolenie ze stanu aktualnego. Na 22 osoby jedna tylko zdaje się nie mieć nic do zarzucenia filmowi polskiemu w jego obecnej postaci. Wszystkie inne wyrażają swą opinię negatywną. Niezadowolenie dotyczy różnych momentów, jest jednak jednomyślnie w stosunku do jednego punktu: w stosunku do dzisiejszej tematyki naszych filmów. Tylko cztery osoby pragnęłyby, aby ta tematyka nie miała jakiegos odrębnego, specyficznego polskiego charakteru, lecz aby stosowała się pod tym względem do norm przyjętych w

t. zw. „najlepszych” filmach zagranicznych. Większość, podkreślając zresztą przeważnie, że „film polski nie powinien odrzucać zdobyczy kinematografii zagranicznej”, żąda jednak, aby wytworzył swoje własne oblicze, aby zdobył się na jakiś konkretny stosunek do naszej aktualnej rzeczywistości. Z wyjątkiem dwóch prac, które ten moment wogóle przemilczają, wszystkie inne głoszą hasło: zerwać z dotychczasowym szablonoem ułańsko-szlachecko-włosiańskim, bo nie jest on żadnym odzwierciedleniem naszej rzeczywistości obecnej, ani nawet jej idealizacji; wogóle nie stoi do niej w żadnym stosunku. Dwa razy spotykamy propozycję tworzenia wielkich obrazów historycznych, lecz o charakterze „odkamywania” historii oficjalnej; poza tem jednak wszyscy powtarzają żądanie, aby punktem wyjścia stały się przedewszystkiem problemy dnia dzisiejszego; wielkie zagadnienia ogólne i codzienne kłopoty i radości „szarego człowieka”. Niektórzy autorzy precyzują bliżej ten postulat: żądają zatem zajęcia się chłopem polskim (oczywiście, nie według dawnego sielankowego szablonu), jego stosunkiem do ziemi, do pracy na roli; zwracają uwagę na konieczność przedstawienia problemu bezrobocia, problemu współżycia z mniejszościami narodowymi, problemu wychowania młodego pokolenia.

Jeżeli chodzi o zagadnienie formy filmowej, żądania w sprawie odrębnego stylu są rzadsze, a projekty mniej określone. Pojawia się pojęcie „impresjonizmu lirycznego” jako tego ujęcia formalnego, które dominuje także w poezji i w muzyce polskiej i które powinno także cechować film polski. Naogół jednak powtarza się przekonanie, że należy przedewszystkiem wchłoniąć zdobycze formalne ekranu europejskiego i amerykańskiego, a swoista forma filmowa polska wytworzy się w trakcie wieloletniej pracy.

Cała organizacyjna, handlowa strona

Kinodialektyka

Trudno będzie uniknąć suchej i abstrakcyjnej terminologii. Chcemy bowiem mówić o kinie jako o sztuce dialektycznej.

Dialektyka — nauka o rozwoju — ujmuje każde zjawisko jako proces, a proces jako wypadkową składających się nań procesów drobniejszych i równocześnie składową procesów obszerniejszych.

Uczony-dialektyk wykrywa prawidłowości w procesach i ujmuje w formuły. Reżyser-dialektyk demonstruje nam te prawidłowości na samych procesach, procesy same wypowiadają okreslające je formuły: ustami zasugerowanego widza lub, prościej, dopowiedzeniem napisu — dialogu. Reżyser-dialektyk dopełnia w ten sposób uczonego, wyręcza go, na swoje życie, prowadzi nas do tego samego celu: do dialektycznej wiedzy. I dlatego powiada Eisenstein: „Nie chcemy dłużej przeciwstawiać jakościowo wiedzy i sztuki. Chcemy je zrównać ilościowo i wychodząc z tego założenia, wprowadzić jednolitą nową formę [tego] społecznie ważkiego czynnika”. („Kinematograf pojęć”).

Niektórzy nazwają takie kino (i wogóle taką sztukę) zwyczajną „ilustracją” tez naukowych. Ale to nieprawda. Gdzie punktem wyjścia jest abstrakcja, formuła, a więc wiedza już osiągnięta, a nie proces jej osiągania, tam można mówić o ilustracji. To uczony właśnie ilustruje swoje tezy, t. zn. dowodzi ich użyteczności na przykładach. Dla reżysera natomiast punktem wyjścia jest sam kinematograficznie spreparowany proces realny, będący zarazem psychologicznym procesem krystalizowania się wiedzy w umyśle widza. Reżyser zaprzęga niejako procesy do swoich zamierzeń i każe im rozłożyć wiedzę w milionach mózgów — w skurczach emocji.

Dlaczego kino właśnie jest sztuką, tak znakomicie odzwierciedlającą dialektyczny charakter zjawisk?

Gdyż tylko kino daje nam taką władzę nad czasem i przestrzenią, że możemy zjawiska czasowo-przestrzenne poddać całkowicie naszemu zamierzeniu: — możemy je zmusić do najekonomiczniejszego i najsugestywniejszego wyjawienia rządzących nimi praw. Tylko w kinie konkretne zjawiska, konkretne procesy — nie tracąc swej konkretności — stają się własnymi interpretatorami i narzucają swoją auto-interpretację z siłą i rozmachem, właśnie dlatego, że pozostają tak zmysłowo konkretne, tak dziewiczo realne. Kino bombarduje planowo i intensywnie, jak żadna inna sztuka, nie tylko wąską strefę „czystego intelektu”, ale całą psychikę widza — formuje nie tylko umysł, ale wszystko co jest między abstrakcyjną myślą a nagłym czuciem zmysłowym. Technicznie nazywa się to krótko i skromnie: montaż.

Nie będziemy tu mówili o reżyserach zachodnio-europejskich, tych rutynistach, którzy z mniejszą lub większą doskonałością używają swego abecadelfa montażowego, wystarczającego im dla mniej lub więcej zgrabnego spreparowania jakiejś mizerniutkiej „fabuły”. Ale nawet Eisenstein, Pudowkin czy Turin stoją właściwie dopiero u początku drogi. Tylko ten rozumie naprawdę osiągnięcia współczesnych mistrzów kina, komu osiągnięcia te otwierają perspektywę na olbrzymie, trudne jeszcze do objęcia, możliwości rozwojowe kinematografii.

Montaż — metoda kinowa myślowej i uczuciowej interpretacji zjawisk — opiera się — analogicznie do metod ekspresyjnych w innych sztukach — na zasadach, określonych przez wiedzę: 1) na interpretowanych zjawiskach, 2) na treści psychicznej i możliwościach psychofizjologicznych widza, 3) na możliwościach technicznych.

Sięgajmy do przykładów. Proces narastania buntu wśród Chińczyków, pasażerów „Błękitnego expressu” Trauberga, jest częścią składową ogólnego procesu budzenia się świadomości społeczno-narodowej mas chińskich — procesu ewolucji coraz szerszych warstw ludowych od nieświadomości i bierności, od ślepiej i bezsilnej niewiadomości, do żywiołowej, a wreszcie świadomej i planowej rewolucji. Trauberg podkreśla to konsekwentnie dwoma sposobami. Po pierwsze, wokół właściwej akcji — t. zn. rewolty w expresse — skupia szereg momentów dopełniających, rozszerzających perspektywę na front walki (sceny przed dworcem, opowiadanie filmowe o demonstracji w Kantonie, incydent z sympatyzującym ze zbuntowanymi zwrotniczym i t. d.). Po wtóre, podkreśla ciągle typowość wydarzeń w expresse, t. zn. okoliczność, że wydarzenia te w swych zasadniczych rysach są analogiczne do setek i tysięcy podobnych wydarzeń w całych Chinach.

W rezultacie w filmie Trauberga ściera się już nie grupka Chińczyków z grupką wyzyskiwaczy, ale cały potężny imperializm białych, wspomagany przez reakcyjną burżuazję chińską, z rewolucyjną chińską. Wybiegając swobodnie poza ramy właściwej akcji, — a więc poza środowisko, czas, miejsce, w których akcja się rozwija (np. we fragmencie z mnożącymi się armatami), — potęgując typowość, ogólną ważność pewnych epizodów aż do symbolizmu (złączone dłonie białego finansisty i generała chińskiego), — pozwala nam Trauberg poprzez drobny epizod buntu widzieć olbrzymi proces dziejowy.

Z drugiej strony bunt chińskich pasażerów w „Expresie” jest sumą szeregu procesów indywidualnych i grupowych, i Trauberg rozszczepia go na te procesy, o ile przez to może oświetlić spo-

łeczno-psychologiczne uwarstwienie mas chińskich (świadoma awangarda; masy rozgoryczone, ale rozproszkowane i bezradne; masy konserwatywne, odurzone „haszyszem religii”; chwiejne drobno-mieszczanstwo i inteligencja). Równolegle do tego również imperializm pokazany jest w codziennej praktyce, w drobnych różniczkowanych objawach. Ale jak indywidualne i grupowe procesy psychologiczne w grze wzajemnych oddziaływań składają się razem na proces buntu w „Expresie”, a bunt ten dzięki scharakteryzowanej wyżej metodzie, daje nam obraz ogólnego wrzenia rewolucyjnego w Chinach, rozwijającego się ku skoordynowanemu wystąpieniu mas, — tak samo drobne objawy imperializmu składają się razem na ogólny obraz ekonomiczno-społecznego i narodowego ucisku, kulminującego w decydujących rozgrywkach z rewolucją (pancerniki, rozstrzelanie, demonstracje i t. d.).

Takie są, w krótkości, dialektyczne założenia Trauberga i równocześnie jego metoda demonstrowania tych założeń: metoda — w ogólnych zarysach — pudowkinowska. Metoda ta za punkt wyjścia bierze wąski proces grupowy, lub nawet indywidualny („Burza nad Azją”), i dwoma sposobami uogólnienia i dopełnienia (rozszerzenia perspektywy) — czyni go reprezentantem wielu procesów analogicznych i składową szerszego procesu dziejowego.

Metoda eisensteinowska różni się od pudowkinowskiej o tyle, że jako punkt wyjścia bierze raczej szerszy proces, pokazany zapomocą kombinacji skrótów (realistyczna abstrakcja) z typowymi, reprezentacyjnymi epizodami. Jest to w gruncie rzeczy metoda taka sama jak u Pudowkina, lecz konsekwentnie rozwinięta w dwóch kierunkach: „rozszerzenie perspektywy” ma charakter stały; jest to już szerokość perspektywy, realizowana przede wszystkim w formie realistyczno-abstrakcyjnych skrótów (np. kula komunistów 71-go roku, uderzająca w Petersburg); procesy zaś składowe mają formę licznych, krótkich, w decydujących chwilach uchwyconych epizodów, a więc ich reprezentacyjność musi być ostrzej podkreślona, odrzuca uchwytą, wyraziście niż u Pudowkina. U Pudowkina ludzie i zdarzenia mają większy balast przypadkowości, jednorazowości; ale też Pudowkin ma czas na oddzielanie elementów o ogólnie obowiązujących od jednorazowych i przypadkowych. Przypadkowe są w filmie Trauberga — różne okoliczności uboczne zgwałcenia dziewczynki chińskiej przez pijanego konwojenta; ale fakt zgwałcenia napewno nie jest przypadkowy, jest to niewątpliwie jedna z mniej rozpowszechnionych a stąd, mimo swej okrucności, mniej ważnych form ucisku; brutalność zaś białych żołnierzy jest już napewno zjawiskiem całkiem ogólnym. Trauberg lub Pudowkin może na przestrzeni dziesiątków i setek metrów taśmy przeprowadzać linię demarkacyjną między zjawiskami przypadkowymi, zjawiskami mniejszej i większej wagi. Eisenstein natomiast w krótkim, fragmentarycznym epizodzie musi skoncentrować uwagę widza na rysach najważniejszych ze względu na ich częstotliwość i znaczenie historyczne.

Różnica Eisenstein — Pudowkin jest różnicą ilościową, ale i jakościową. Eisenstein usiłuje zbliżyć się do abstrakcyjnej wypadkowej procesu historycznego, przeplatając skróty historyczne charakterystycznymi epizodami, obrazującymi procesy tego etapu. Pudowkin natomiast usiłuje dać niejako idealną składową w całej jej typowej złożoności, z całym mechanizmem mniej i bardziej ważnych problemów; wystarczy ją niejako zwielokrotnić i dopełnić, żeby otrzymać odpowiedni odcinek szerokiego procesu dziejowego. Eisenstein formułuje kinematograficznie prawidłowości szerokich procesów, operując przytem konkretem zhiperbolizowanym (t. zn. mającym wywołać w umyśle widza określone kombinacje skojarzeniowo-myślowe) i takim, w którym ładunek twórczości jest specjalnie wielki. Pudowkin natomiast analizuje drobny proces składowy, aby w ten sposób zapoznać nas z mechanizmem określonego odcinka procesu szerszego, starając się przytem nie stracić z oczu ogólnej linii rozwojowej tego szerokiego procesu. Pudowkin indywidualizuje i w pewnym mierze epicko opisuje swoich „bohaterów” i — wiążąc nas z nimi niemi dłuższej znajomości oraz sympatii i antypatii, wynikających w znacznej części z ich cech indywidualnych, — prowadzi poprzez zainteresowanie osobami do zainteresowania zdarzeniami. Obie metody mają swoją społeczną rację bytu. Ale Eisenstein stanowi o tyle „wyższą szkołę”, że obejmuje szersze perspektywy, a przytem wiąże nasze emocje bezpośrednio z procesami historycznymi, ze zjawiskami decydującymi wagi, rewolucjonizując w ten sposób nasz system uczuciowy.

Najelementarniejsze założenia naukowe i kinematograficzne Eisensteina i Pudowkina (foraz ich szkół) są, oczywiście, wspólne. Obaj są reżyserami-dialektykami. Ale odrębność metod realizatorskich pociąga za sobą konieczność wyspecjalizowania się w odrębnych formach kinematograficznych. Nie wyklucza to oczywiście, że u Pudowkina mogą być elementy „eisensteinowskie”, i odwrotnie. Przedewszystkiem więc u Pudowkina o wiele większą rolę niż u Eisensteina odgrywają nie-montażowe, wogóle pozafilmowe środki ekspresji — pozafilmowe w tym sensie, że nie wytwarza on w tych

wypadkach sposobami czysto filmowymi (montaż wraz z kompozycją klatki, fotografacją i t. d.) nowych wartości poznawczych i uczuciowych, ale potęguje tylko w pewnym stopniu istniejące niezależnie od filmu walory ekspresyjne zjawisk. Mowa tu o grze aktorskiej i doborze typów, o dokumentaryzmie fotograficznym i wogóle operowaniu wyrazistymi realiami (sceny obyczajowe i religijne w „Burzy nad Azją”, kinematograficznie podane dość surowo), wreszcie o symbolice pozafilmowej: literackiej i popularno-ludowej (ryby pozbawione wody — popularny symbol istot, przeniesionych w nieżnośne dla nich środowisko, w „Burzy nad Azją”). Rola reżysera, a przede wszystkim autora, polega tu głównie na zaobserwowaniu i wyłowieniu z rzeczywistości najprzystajniejszych dla danego zamierzenia realiów, nie na przetworzeniu ich kinematograficznie; podczas gdy u Eisensteina nowe wartości ekspresyjne, uzyskane sposobami czysto filmowymi, potęgują i przerstają niepomniernie „naturalną” (t. zn. wytworzoną przez doświadczenie życiowe, literaturę i t. d.) wartość ekspresyjną obiektów i zdarzeń. Następnie rozwinął Pudowkin — specjalnie użyteczne dla jego celów — formy analizy montażowej oraz różne formy filmowego wyodrębniania i podkreślenia. Analiza montażowa jest to uzupełnienie (przeplatanie) jakiegoś ryczałtowo pokazanego zdarzenia demonstracją szczegółów; pokazanych jego głównych etapów, jego doraźnych skutków, składających się na nie zdarzeń cząstkowych i t. d. W „Matce” np. radość więźnia z powodu bliskiego uwolnienia, ryczałtowo pokazana w jego umieszczeniu, uzupełniona jest demonstracją wyobrażeń, kojarzących się u więźnia ze słowem „wolność”: wiosenny potok, gra promieni słonecznych i t. d., a więc sumaryczny wyraz zewnętrzny uczucia, uzupełniony tu jest analizą samego procesu psychicznego.

Eisenstein rozwinął przede wszystkim trzy niezmienne ważne dla kina dialektyczne formy: porównanie, parabolę i metaforę filmową. Klasyczne porównanie rozstrzelanego tłumu do uboju bydląt jest przykładem wydobycia z porównania mocnych walorów przede wszystkim emocjonalnych. Porównanie światłok prawosławnych do murzyńskich fetyszów zawiera już, jako podstawę oddziaływania uczuciowego (ośmieszenie), większy ładunek oddziaływania poznawczego. Natomiast zrywający się lew kamienny w „Patriotkinie”, to już parabola (porównanie z opuszczeniem jednej ze stron porównawczych), parabola symboliczno-fantastyczna. Na pograniczu paraboli i metafory (metafora: porównanie skondensowane w jeden syntetyczny obraz) znajduje się scena z Kierenskim, wstępującym po wydłużających się w nieskończoność schodach do Konstytuanta, a także przytoczony już obraz: kula z armaty komunistów 71-go roku, uderzająca w Petersburg. Ta forma paraboli-metafory kinowej swą pojemnością myślową i ekonomiczną przewyższa wszystkie inne formy i w rękach reżysera-dialektyka, jak Eisenstein, staje się narzędziem o niezwykłej sile działania i precyzji. Małutki Kierenski na wydłużających się beznadziejnie schodach do Konstytuanta — plastyczność, wzrokowa sugestywność tego obrazu, umysławiającego jeden z etapów roli historycznej Kierenskiego, idzie w parze ze świetnym efektem humorystycznym.

Metafora, a zwykle i parabola kinowa, wykracza poza granice realizmu. Ale Eisenstein łączy ponadrealizm koncepcji metaforycznej (np. wydłużanie się schodów) z pełnym, a raczej spoutegowanym, budzącym najżywszą reakcję uczuciową, realizmem wykonania. Kula komuny 71-go roku, uderzająca w reakcyjny Petersburg roku 17-go, ma pełną, plastycznie, fotograficznie uwypukloną masę, odpowiednie, t. zn. mniejsze od rzeczywistego, ale zato uchwytne dla oka przyspieszenie i sugestywnie pokazana siła niszcząca!

Powyższa pobieżna charakterystyka założeń dialektycznych i związanych z nimi głównych form ekspresyjnych produkcyjnej kinematografii sowieckiej, oczywiście, tylko w nieznacznym stopniu może dać pojęcie o dotychczasowych osiągnięciach, a tem mniej o niezwykłych możliwościach rozwojowych sztuki filmowej. Jaskrawe światło na te możliwości rzucają następujące słowa Eisensteina: „Kinematograf intelektualny nie będzie kinematografem epizodów i epizodzików. Nie będzie kinematografem anegdot i anegdotek. Kinematograf intelektualny będzie kinematografem pojęć. Będzie bezpośrednim wyrazem całych systemów ideologicznych i sam będzie systemem pojęć. „Metoda dialektyczna”, „idealizm”, „materializm historyczny” i t. d. i t. d., oto jego tematy. Nie w postaci poszczególnych przypadków. Nie w datach, nie w uogólnieniach, ale przez wyłożenie metod i systemów samych tych, głęboko filozoficznych, koncepcji. Tylko dla takiego kina, które zdolne jest zawrzeć bezpośredni dialektyczny konflikt w systemie pojęć, otwiera się możliwość wszechpienia nowych pojęć i idei w milionowe masy. Tylko takie kino stanie również formalnie na poziomie nowoczesnej techniki przemysłowej. Tylko takie kino będzie miało rację bytu między cudami radia, telewizji i teorii względności. Stary typ pierwotnego kinematografu, podobnie jak i typ abstrakcyjno-oderwanego filmu, ustąpi miejsca nowemu intelektualnemu, konkretnemu filmowi” („kinematograf pojęć”).

Stefan Gołąb.

Nowe gatunki krótkich metraży

W związku z coraz żywszym zajęciem się zagadnieniami formalnymi filmu, otwartością się dziedziny pracy do tego czasu nieeksploatowane. Pozwólmy sobie tu zanotować jako owoc osobistych przemysleń teoretycznych na tem polu — projekt nowych gatunków obrazów w obrębie krótkiego metrażu.

Oto one według naszej (improwowanej zresztą) nomenklatury: liryka filmowa, symfonia wzrokowa, kontrreportaż, intermezzo filmowe, studium formalne, dramat rzeczy ożywionych, komedia zabawek, wizja muzyczna, kompozycja wieloplanowa, pejzaż abstrakcyjny.

Każdy z tych gatunków posiada swoją odrębną strukturę, swoje wyłączone prawa, które narzucają mu własny rytm i własną treść. Tak np. gdyby pociąć film Krzeptowskiemu „Biały ślad” na sześć części, lekko przemontować, otrzymalibyśmy sześć pięknych symfonij wzrokowych. Dramat rzeczy ożywionych widzimy np. u Mamoulina (zegar z wahadłem w „Dr. Jekyll i mr. Hyde”), albo u Rutmanna (świszek papieru na trotuarze w „Symfonii wielkiego miasta”) i t. p. Pomysłowe intermezzo filmowe pokazuje Clair w przeświatach od jednej sceny do drugiej. Wspaniale wizje muzyczne daje Fischinger. Kompozycje wieloplanowe ożywiają klatki „Europy” Themersonów. Komedie zabawek obserwujemy w groteskach Iwerksa i u Starewicza. Abstrakcyjne pejzaże występują w filmach malarzy, np. Légera. Wspomnieliśmy jeszcze o ciekawym typie filmu: kontrreportażu. Jeżeli posługuje się całą serją zdjęć dokumentalnych (nowa rzeczowość) a montaż obrazu odbywa się w myśl pewnej wewnętrznej idei kompozycyjnej — to metodę tę, rytmizującą realistyczne wycinki taśmy w pewnym specyficznym montażu, nazywamy kontrreportażową.

Każdy z powyżej wspomnianych gatunków filmów może być zbudowany autonomicznie w granicach do 600 m. i zawierać w sobie emocje, które byłyby nie do osiągnięcia w dotychczasowych ujęciach beletrystycznych.

Twórczość krótkometrażowa ze względu na swój charakter, pozwala w sobie przemycić najwięcej możliwości artystycznych. Poza tem — jak wykazało doświadczenie — widzowie chętniej i ciekawiej patrzą na dodatki filmowe niż na właściwy film, który niejednokrotnie nudy ich ich swą długością i monotonią.

Rozmaitość ciesz, Zasada ta szczególnie w kinie posiada swoją rację. Z tem łączy się ważna sprawa przebudowy smaku widza kinowego i przewyciężenie jego przyzwyczajenia. Reforma seansów filmowych wymagałaby m. in. skrócenia długości t. zw. obrazów właściwych, które mają przeciętnie 2500 m długości. Są to „pity” za rozwlekłe. Spróbujmy zaprojektować takie ujęcie programowe (nawet w obrębie dotychczas ustalonej długości): aktualności światowe (300 m), tygodnik krajowy (300 m), film właściwy (1800 m), oraz komedia (600 m). Albo: zdjęcia z natury (350 m), aktualności (350 m), film właściwy (1800 m), oraz bajka (500 m). A cóż za bogactwo pomysłów otwiera się np. w dziale aktualności, których polska produkcja wogóle nie zna (wyczerpują je biegi przysposobienia wojskowego i odstawianie pomników).

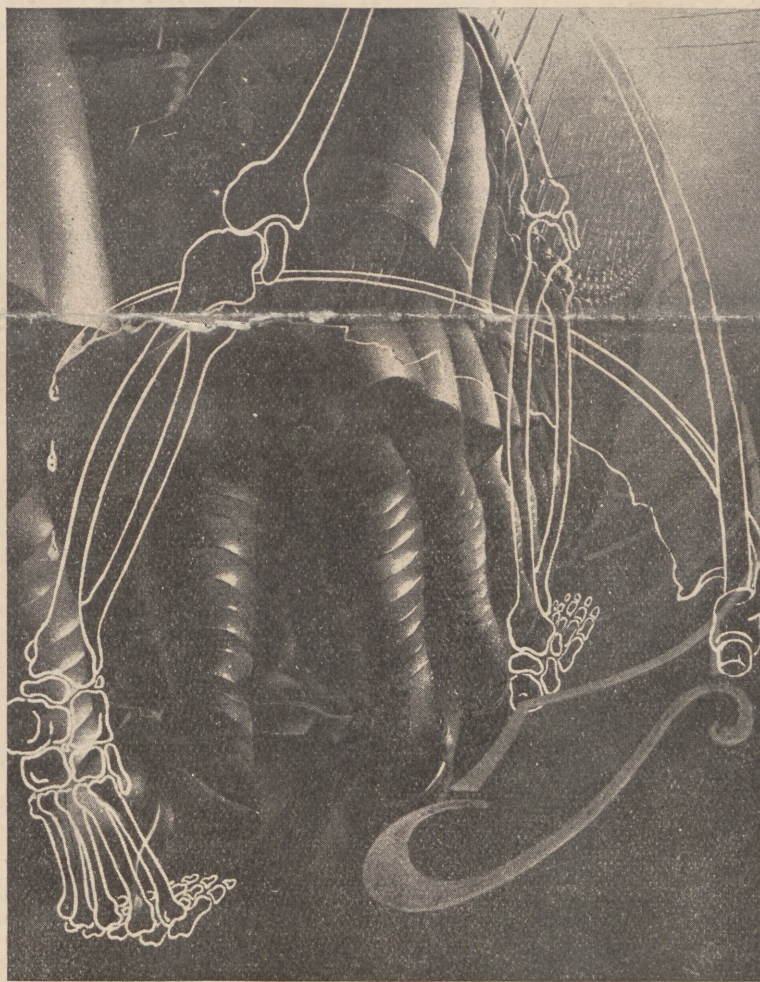
W latach, w których żyło się kilkutomowymi powieściami, można było ścierpieć około 3000 m jednego obrazu, podlanego z początku sosem 150 m aktualności. W epoce reportażu, musimy zrewidować ustalone typy filmów oraz normy długości taśmy w zależności od ich gatunków.

Jalu Kurek.

Filmy awangardy

Dwaj młodzi reżyserzy awangardy wyświetlali niedawno na pokazach dla prasy swoje filmy krótkometrażowe: p. Ga-

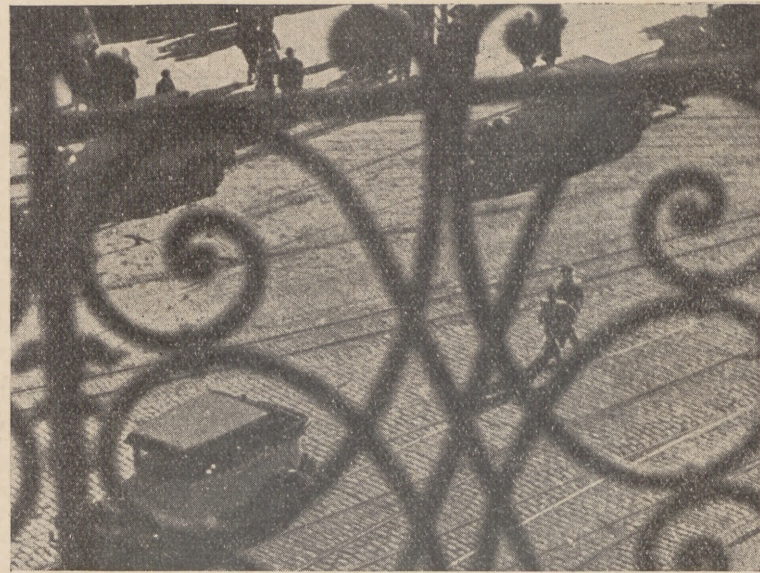
członek warszawskiego „Startu”, — krótki „montaż nastrojowy”, p. t. „Czerwiec”. O obydwu tych filmach pomówimy je-



GABRJEJSKI: „Buty”

brjelski — film ekspresyjny „Buty”, którego jako motyw i plastyczny i dźwiękowy posłużył słynny wiersz Kiplinga pod takim samym tytułem”), p. Cękalski,

szcze obszerniej przy sposobności rozważań nad ostatnimi osiągnięciami polskiej awangardy filmowej. Domaga się omówienia niedostatecznie przez krytykę pod-



CEKALSKI: „Czerwiec”

*) Drukowany w przekładzie polskim Wilama Horczy w zeszycie XIX „Skamandra”.

kreślony film Radulskiego, oraz nieznanego w Warszawie film eksperymentalny Kurka.

Kronika

Porozumieniu niemiecko-włoskiemu w polityce odpowiada coraz ściślejże zespalanie interesów tych państw na terenie filmu, płynące zarówno z pobudek ideologicznych jak z rosnącego osamotnienia Niemiec na międzynarodowym rynku wymiany wartości intelektualnych. Niedawno Niemcy zakupiły dwa włoskie filmy o tendencji wybitnie faszystowskiej: „Czarne koszuły” i „Podniebna flotylla”. Wiosna zaś wizyta w Rzymie ministra Goebbelsa miała m. in. za zadanie nawiązanie ściślejszego kontaktu również z włoskim światem filmowym. Podczas pobytu w Rzymie Goebbels zainteresował się przede wszystkim dwiema instytucjami filmowymi: Państwowym Instytutem L. U. C. E., oraz Międzynarodowym Instytutem Filmu Naukowego. Pierwszy z nich produkuje filmy naukowe i kulturalne, przeważnie krótkometrażowe, głównie zaś „dodatki tygodniowe”. Organizacja Instytutu jest wzorowa. Co tydzień ukazuje się dodatek, złożony co najmniej z pięciu części, opracowany w czterech wersjach. Z wielkiej ilości tematów, nadawanych przez operatorów, kierownik Instytutu, jeden z najstarszych faszystów i prawa ręka Mussoliniego, Gray, osobiście wybiera te które najbardziej odpowiadają tendencjom rządu w danym momencie. L. U. C. E. dysponuje stałym jednym z największych w świecie zbiorom zdjęć i „aktualności”, przeznaczonych dla zagranicy. Prócz tego w ogromnym planetarium rzymskim odbywają się trzy razy tygodniowo pokazy filmów kulturalnych i naukowych, organizowane przez Instytut i cieszące się wielkim powodzeniem. W najbliższej przyszłości Instytut zacznie prawdopodobnie urządzać takie pokazy i na prowincji. W przeciwnieństwie do tej ożywionej działalności kulturalnej, państwo nie zajmuje się w tej chwili produkcją filmów normalnych-rozrywkowych. Starania niemieckie idą, jak się zdaje, w kierunku nawiązania kontaktu w tym właśnie punkcie, ponieważ tutaj wytwórnie niemieckie znalazłyby niewątpliwie dla siebie odpowiednie pole działalności.

Niemiecka prasa filmowa w dalszym ciągu uprawia „hurra-politykę”, posługując się stale takim np. słownikiem: „Płynę przez Niemcy pieśń: „Towarzysze, zamordowani przez czerwony front i przez reakcję, maszerują duchem w naszych szeregach”... Ta pieśń płynie także przez Niemcy filmowe... Duch jej maszeruje i w naszych szeregach. I będzie krokiem żelaznym dalej i dalej maszerowała przez wszystkie przeszłości i opór każdej sztuki, aż osiągnie cel, który my, narodowi socjaliści, widzimy przed sobą w naszym programie... Pieśń płynie poprzez Niemcy, płynie przez świat. I świat usłucha jej, będzie jej musiał usłuchać, jeśli dziś nawet opiera się nowej budniej przyszłości, która rozbrzmiewa z nowych Niemiec. Aby ta pieśń nie zawierała żadnego nie-niemieckiego tonu — nad tem już my, zbudzony lud niemiecki, my, narodowi socjaliści, będziemy czuwać!”... i t. d. i t. d.

Od tych brukowych enuncjacji, drukowanych na naczelnym miejscu w fachowym piśmie („Film-Kurier”), znamienne odbija artykuł, który ukazał się we francuskim miesięczniku filmowym „Ciné-Magazine”, p. t. „Wszystko dla sztuki”, gdzie autor protestuje przeciwko demonstracjom anty-niemieckim, jakie odbyły się w kinach paryskich podczas wyświetlania filmu niemieckiego „J. F. I. nie odpowiadają”. Występowanie przeciwko temu filmowi, który według autora artykułu, posiada wysoki poziom artystyczny, może natchnąć cenzurę francuską do nowych sankcji przeciw filmom zagranicznym. Autor woła: „W imieniu sztuki, która kochamy i która nie pokazała jeszcze nawet jednej dziesiątej tego co potrafi dać nam kiedyś, — żądamy swobody dla wielkich filmów zagranicznych, niezależnie od ich pochodzenia... Tak samo góracz pragniemy oglądać „Pancernika Patriotkina” z jego wspaniałymi obrazami jak „Lipiec, rok 1914”, film o ideologii tendencyjnej. Wolny i doświadczony naród powinien stać na dość wysokim poziomie intelektualnym, aby umieć się oprzeć działaniu obcych obrazów”.

Niedawno ukończono w Hollywood film z życia Woltera. Wolter został tu przedstawiony odmiennie od Woltera rzeczywistego. Ze względu na to, że, niektóre stany w Ameryce odnoszą się bardzo surowo do wszystkiego co może uchodzić za najlżejszą krytykę zasad religijnych — Wolter ukazany został niemal jako człowiek wierzący! „Zresztą Wolter nie był nigdy ateistą; czyż nie on oświadczył: „Gdyby Boga nie było, należałoby go wymyślić”? A dalej: „Aby nie zrobić z tego filmu dzieła, któreby zaniepokoiło sumienia i rozpałło namiętności, zagrałiśmy z historią w ciuciubabkę”... W ten sposób wynurza się w wywiadzie o całym nainym cynizmem George Arliss, odtwórcy wolnowyśliciela XVIII stulecia, nawróconego przez gorliwy wiek XX.

Żywy ruch filmowy daje się w ostatnich czasach zaobserwować w Palestynie. Wytwórnia F. A. I. (Film Aartzi Israel) wyświetlała niedawno w Tel Avivie film niemy „Oded anaded”, nagrany z niezwykłą ponoc swadą i artystem przez zespół dziecięcy. Film odniósł ogromny sukces. Założono wielkie przedsiębiorstwo kinematograficzne p. n. „Orient Film Corporation”, które postawiło sobie za cel produkcję filmów dźwiękowych w językach hebrajskim, arabskim i angielskim. Scenariusz pierwszego filmu, powierzony pisarzowi hebrajskiemu, Awigdorowi Ha-mairowi, będzie nosił tytuł „Symfonia ziemi”.

NUMERATA z przesyłką zł. 9.— kwartalnie, zagranicą zł. 12.— OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości 1 mm. szerokości 1 spzaltly 60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście. Kolumna posiada 6 spzalt.

REDAKCJA: Żłota nr. 8 m. 5, tel. 732-82, poniedziałki, środy i piątki od godz. 16—17. ADMINISTRACJA: Królewska 13, tel. 223-04, codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 9—19. Konto w P. K. O. nr. 8.515.

Redaktor: MIECZYSLAW GRYZDEWSKI

Wydawcy: ANTONI BORMAN i M. GRYZDEWSKI

Wydawca: „WSPÓŁCZESNEJ”, Warszawa, Szpitalna 10